

Opłata pocztowa wliczona w cenę.

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 10 kwietnia 1949 r.

Nr 15 (194)

W NUMERZE

między innymi:

H. Syska — Naród czy Rzym?
 V. Leduc — Amerykański „Mein Kampf”
 P. Robenson — Ameryka to także ja
 J. Pogan — Inteligencja na wsi
 A. Wasilewski — O Kazimierzu Brandysie
 J. Miller — Wiersze
 P. Czyżowa — Wł. Strzeński — Wystawa amatorów
 J. Choczyński — Na drogach teatru
 M. Niewiarowski — U robotników
 E. Marzec — Wezeł (proza)
 W. Wirpsza, J. Cios — Dyskusja o poezji
 T. Hilarowicz, M. Bodalski, T. Papier — Uwagi



Stefan Ignar



STAWIAMY JUŻ NA GROMADĘ

(Związek Samopomocy Chłopskiej na nowym etapie *)

I.
Do roku ubiegłego węzłowym ogniwem organizacyjnym Związku Samopomocy Chłopskiej był oddział **gminny**, który nawet początkowo nosił autonomiczną nazwę Gminnego Związku Samopomocy Chłopskiej. Było to trafne podejście organizacyjne do naszych ówczesnych zadań, a to z dwóch względów:

1) Za słabe mieliśmy jeszcze nasze kadry przewodnicze w gromadzie (ale z tych względów opinia społeczna na tym szczeblu kształtowana była przez bogaczy wiejskich).

2) Główne nasze zadania tkwiły wtedy w gminie, a mianowicie budowa samorządu i udział w radach narodowych oraz — co najważniejsze — organizowanie **gminnych** spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Gromady pojedyncze, jak wiemy, były do ostatnich lat bardzo luźno powiązane z życiem ogólnopolskim. Ludność poszczególnych wsi tworzyła grupę lokalno-sąsiedzką, powiązaną stosunkami **klienteli** pomiędzy biednymi a bogatymi.

Bogacze, wykształceni w szkołach rolniczych, wyrobieni organizacyjnie, prenumerujący gazety, a równocześnie trzymający w swych kleszczach gromadę, sabotowali skutecznie działalność ZSCh. Dziś, po 4 latach warunków się zmieniły. Mamy już pewną ilość przodowników chłopskich na gromadach spośród małorolnych i średniorolnych, spośród młodzieży chłopskiej, wychowanej w Kołach Młodzieży Wiejskiej. Przybywa nam od ubiegłego roku aktyw „Służby Polsce”.

Partie polityczne wydobyły z dolów biedoty wiejskiej zdolnych aktywistów; coraz więcej nauczycieli współdziała ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Średniorolny chłop coraz lepiej rozumie swój interes we współpracy z biedotą wiejską i klasą robotniczą. W tych warunkach decydujemy się przesunąć punkt ciężkości naszej pracy na **Koło Gromadzkie** Związku Samopomocy Chłopskiej. Stawiając na gromadę, jako na fundament naszej roboty, wciągamy w ten sposób najszersze masy chłopskie do współrządzenia państwem ludowym, do budowania zrebów — ustroju sprawiedliwości społecznej.

Wiemy jednak o tym, że rządzenie państwem ludowym nie polega na policyjnym nadzorze nad pomyślnym rozwojem indywidualnego dorobkiewiczostwa. Uznając Koło Gromadzkie ZSCh za **podstawowe ogniwo organizacji wsi**, prowadzimy do tego, aby

*) Fragmenty z referatu na III Kongresie ZSCh 3, 4, 5 marca 1949 r.

każda gromada, każda wieś znała plan państwowy w zakresie produkcji zbóż, okopowych i oleistych, aby znała plan państwowy w zakresie hodowli bydła i trzody, aby znała również plan państwowy w zakresie oświaty i kultury. Znając plan ogólnonarodowy, każda gromada winna opracować własny plan do wykonania — dla siebie. Na podstawie takiego miejscowego planu gromadzkiego wiadomo będzie dla każdego, że trzeba w ciągu najbliższego roku wyżywić drogę, wykopać rowy, naprawić mosty, odwodnić bagniste łąki, porobić przegony, zaopatrzyć się na czas lub zamówić w ośrodku maszynowym tryjery, siewniki i młocarnie, zorganizować pomoc sąsiedzką w obróbie roli, w siewach i omłotach. Według takiego planu zarząd gromadzki ZSCh. pokieruje kontraktacją hodowlaną i roślinną, utworzy zespoły produkcyjne, zgłosi zapotrzebowanie na nawozy i pasze, upomni się o zaopatrzenie w narzędzia, żelazo, materiały włókiennicze i skórę. Dopilnuje prawidłowej ceny na zbywane produkty, stworzy miejscowy komitet sklepowy dla kontroli sprawiedliwego rozdziału towarów. Poczynając od obecnego Kongresu, każdy członek Koła Gromadzkiego ZSCh. będzie członkiem Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Koło Gromadzkie ZSCh. nie ograniczy swej działalności do dziedziny życia materialnego. Stworzy ono i będzie kierowało miejscowym szkolnym komitetem rodzicielskim, czuwającym nad postępowym wychowaniem dzieci i zaopatrzeniem szkoły w pomoce naukowe.

Do Koła Gromadzkiego będzie należało zakładanie i prowadzenie dziedzinców oraz współdziałanie w upowszechnieniu przedszkoleń.

Najważniejszym zadaniem Koła Gromadzkiego w dziedzinie oświaty i kultury jest przejęcie pod swe kierownictwo istniejącej świetlicy i odpowiednie urządzenie jej: zaopatrzenie świetlicy w stoły, krzesła, szafy, obrazy i wywieszki, zaopatrzenie jej przede wszystkim w gazety i książki, o ile się da, w radiodbiornik. Tam, gdzie nie ma dotąd świetlicy, a takich wsi jest w Polsce większość, Koło Gromadzkie znajdzie lub wybuduje odpowiedni lokal i otworzy świetlicę, która zarazem będzie lokalem organizacyjnym ZSCh. jak i Koła Młodzieży. Koło ZMP będzie współgospodarzem świetlicy ZSCh.

Świetlice kierowane przez ZSCh. mają być dostępne dla wszystkich mieszkańców danych wsi i dla wszystkich miejscowych demokratycznych organizacji.

Nie wspominałem dotąd o kobietach, ale

już z wyliczonych zadań jasno wynika, że bez żywego i licznego udziału kobiet w tych pracach nie ma co liczyć na poważniejsze wyniki. Udział kobiet w życiu społecznym i gospodarczym kraju jest miarą jego postępowości. Tam, gdzie kobiety są upośledzone i odsunięte do kuchni i obory, nie ma prawdziwego postępu, nie ma wielkich osiągnięć. Najlepszym dowodem tego, co może wnieść kobieta do życia politycznego i do postępu gospodarczego, jest Związek Radziecki. Wyzwolenie kobiety pracującej jest miarą wyzwolenia mas ludowych. Aby to wyzwolenie mogło nastąpić, sprawami obchodzącymi kobiety muszą zainteresować się i mężczyźni, a znów kobiety winny dźwigać wspólnie z mężczyznami ciężar zadań społecznych w drodze do podniesienia dobrobytu i kultury wsi.

Dlatego proponujemy na dzisiejszym zjeździe znieść sztuczny rozdział pomiędzy Kołem Gromadzkim ZSCh. a Kołem Gospodyń. Specjalizacja prac kobiecych winna mieścić się w ramach Koła Gromadzkiego. Nieodpowiednia, przestarzała forma i nazwa komórki prac kobiecych w ZSCh. winna ustąpić miejsca właściwej organizacji **wspólnej z mężczyznami**. Chodzi nam przecież nie tylko o gospodynię, która interesuje głównie wypiek chleba, robienie konfitur i ogródek warzywny. Chodzi nam o kobietę wiejską, o chłopkę i o jej pełny wkład w rozwój lepszego życia na wsi i w Polsce. W Związku Radzieckim kobieta — inżynier kierowała odbudową największej tamy i elektrowni — Dnieprogradu. W Związku Radzieckim kobiety — rolniczki są przodownicami pracy, odznaczonymi dyplomami bohaterki budownictwa socjalistycznego.

Wyniki ostatnich wyborów do zarządów gromadzkich i gminnych zrobiły wyrwę w odosobnieniu i zacieśnieniu społecznym wiejskich kobiet. Będziemy po tej drodze szli konsekwentnie naprzód. Mamy już w zarządach 13 proc. kobiet, a musimy przy następnych wyborach tę liczbę co najmniej podwoić.

Uznanie Koła Gromadzkiego za podstawowe ogniwo naszego Związku wcale nie oznacza, abyśmy zaniedbali pracę na szczeblu gminnym. Wprost przeciwnie, nasza praca w zarządzie gminnym musi się wzmożyć.

Wobec stojącego przed naszym Związkiem zadania kontroli spółdzielczości rolniczej i realizacji planów gospodarczych w gromadach, nasz zarząd gminny musi być organem zdolnym do pokierowania tymi sprawami, zwłaszcza, że coraz bardziej będzie się rozwijać współzawodnictwo między gromadami,

które wymaga stałego kierownictwa gminnego. Ponadto kierowanie w obrębie gminy upowszechnieniem pracy kulturalno — oświatowej a zwłaszcza świetlic, wymaga sprężystego zarządu. Sekretarz gminnego Zarządu ZSCh. winien być, rzecz jasna, wybierany przez walny zjazd gminny, tak jak to miało miejsce dotychczas. Postawienie na tym stanowisku urzędnika zawodowego miałoby się z celem społecznym.

II.

Na ogólną powierzchnię gruntów w Polsce, która wynosi prawie 31 milionów ha, posiadamy niecałe 21 milionów ziemi użytkowanej rolniczo, a w tym 16,5 miliona ha gruntów ornych. W tej dziedzinie stoi przed nami poważne zadanie, którego wykonanie zwiększy obszar użytków o 20 proc. W końcu 1948 r. zostało nam jeszcze 1.480.000 ha odlogów, które winniśmy jak najspieszniej zabrać i zająć pod uprawę. Ponadto posiadamy obszary zawodnione i zakwaszone. Są to grunta, które bym nazwał ukrytymi odlogami. Przez intensywne prace melioracyjne możemy w niedługim stosunkowo czasie przy pięcioletniej amortyzacji nakładów uzyskać około 2 milionów ha gruntów, na których dziś nie wiele zbieramy. Nawet mądrze i składnie zorganizowana współpraca w pojedynczych gromadach można gospodarskim sposobem zdobyć znaczne pasy nieużytkowanych, zawodnionych obecnie łąk i pastwisk. Troška o użytki zielone, o łąki i pastwiska, jest podstawą rozwoju hodowli. Ministerstwo Rolnictwa nie rozporządza dostatecznymi środkami, aby w ciągu krótkiego czasu przeprowadzić zasadnicze melioracje, na które potrzeba 50 miliardów zł, gdyby przyszło wszystkie prace opłacać. Natomiast rząd jest zdolny do pomocy w opracowaniu planów melioracyjnych i do opłacenia nadzoru technicznego, może także poprzeć skierowanie szeregów „Służby Polsce” do prac melioracyjnych.

Z tych uwag wynika, że gromadzkie Koła ZSCh. mają tu wielkie role do działania i mogą się przy poparciu Min. Rolnictwa przyczynić do likwidacji ukrytych ugorów.

Z kolei trzeba podkreślić, że nasz kierunek produkcji jest nadal jednostronny i niewłaściwy. Trzymamy się dotąd starych tradycji prymitywnego rolnictwa, uprawiając głównie żyto i kartofle. Podczas gdy żytem obsiewamy przeszło 5 milionów ha, a kartoflami prawie 2,5 miliona ha, to oleiste rośliny są uprawiane zaledwie na niecałych 100 tysiącach ha. Niedostatecznie jest u nas doceniane warzywnictwo. I tak np. wobec przeszło 25

milionów ton ziemniaków zebraliśmy w ubiegłym roku zaledwie 2,25 miliona ton warzyw. Najgorzej przedstawia się sprawa z owocami, których zdołaliśmy zebrać w roku ubiegłym zaledwie 1/5 miliona ton (203.000). Ze zbiorów zeszłorocznych przypadło na głowę ludności w Polsce:

pszenicy	—	69 kg
żyta	—	260 „
ziemniaków	—	1000 „
warzyw	—	93 „
owoców	—	8 „

Liczba ta zmniejszy się około 10 proc. poza warzywami i owocami po odliczeniu nasion, koniecznych do następnych zasiewów.

Czy z tej tabeli wynika, że mamy za dużo pszenicy, żyta lub ziemniaków? Nie! Wszystkie tych środków żywności i paszy mamy za mało i musimy zwiększyć ilość zbiorów głównych zbóż i okopowych. Ale czy będziemy te plony zwiększać przez dalsze ograniczenie zasiewów rzepaku, którego mamy tak mało? Takie wnioski z przedstawionych obliczeń byłyby błędne, a nawet głupie. Popatrzmy, któredyś prowadziła droga do zwiększenia planów głównych zbóż i okopowych.

Oto w roku 1948 zebraliśmy przeciętnie z 1 ha:

pszenicy	—	11,8 q
żyta	—	12,5 q
ziemniaków	—	104,0 q
buraków cukr.	—	183,0 q

Przy czym jedynie plonem żyta przewyższyliśmy poziom przedwojenny, który wynosił 11,7 q/ha, natomiast plony pozostałych roślin nie osiągnęły jeszcze poziomu przedwojennego. Tutaj widzimy teren walki o wzrost produkcji rolniczej. Nasze dotychczasowe wyniki są zbyt niskie. W ciągu najbliższych 6 lat według opracowanego planu mamy zwiększyć produkcję rolniczą o 35 — 40 proc. Czy to jest możliwe? Nie tylko jest możliwe, ale wprost konieczne. W przodujących krajach rolniczych chłopci osiągają o wiele wyższe plony na nie lepszych ziemiach niż u nas i tak np. Czechosłowacja już przed wojną sprzątała 160 q/ha ziemniaków, a buraków cukrowych 331 q/ha.

Wzrost produkcji rolniczej przy stosowaniu naukowych wiadomości, nawozów i maszyn oraz odpowiedniej organizacji pracy — musi naśladować za rozwojem przemysłu. W ciągu najbliższych 6 lat ilość robotników w przemyśle w przemyśle o około 1 milion osób w miarę wykonywania planu uprzemysłowienia kraju przez zbudowanie wielkich 320 nowych fabryk i zakładów. Zwiększy się zapotrzebowanie wsi w towary przemysłowe, ale równocześnie musi się o 40 proc. zwiększyć masa produkcji rolniczej.

III.

Jeszcze cięższa bitwa stoi przed chłopami o produkcję zwierzęcą.

Na koniec 1948 r. było według wyliczeń wykonania planu trzytyletniego: 5.747.800 sztuk bydła, w tym 3.647.000 krów.

Jest to bardzo dużo wobec 3.322.800 sztuk bydła, jakie mieliśmy w 1945 r. po spustoszeniu hitlerowskim, jest to dużo w porównaniu z 1946 r., kiedy mieliśmy samych krów zaledwie 2.748.100 sztuk, a więc prawie o milion mniej niż obecnie.

Ale czy możemy się zgodzić na to, ażeby u każdego z czterech krowich cyków wisiła aż 7 obywateli Polski Ludowej? Zresztą byłoby z tym pół biedy, gdyby nasze krowy dawały po 20 litrów mleka dziennie, a dają przeciętnie zaledwie po kilka litrów, i to mleka dość chudego. A więc troskliwie rozmnażanie naszego bydła, właściwe karmienie i opieka weterynaryjna — oto wielkie zadania dla Kół Gromadzkich i całego Związku, jak również dla Ministerstwa Rolnictwa i dla spółdzielczości mleczarskiej, która dotąd zbyt małą troską darzyła małorolnych i średniorolnych chłopów, nie stwarzając warunków dochodowości dla hodowli krów.

Z jeszcze gorszą hipotezą okupacyjną wyszliśmy w zakresie trzody chlewnej.

W roku 1945 mieliśmy zaledwie 1.697.400 świń, w roku 1946 zwiększyliśmy stan pogłowia do 2.674.100 świń, a pod koniec 1948 r. osiągnęliśmy już 5.100.000 świń.

Wiemy jednak, że mimo tak szybkiego rozwoju brakuje nam wśród trzody chlewnej około 3 milionów sztuk, aby zaspokoić zwiększony wzrost i zapotrzebowanie na spożycie mięsa i tłuszczu.

W roku bieżącym rozpoczęliśmy planową bitwę na tym froncie przez tzw. akcję „H”, do której hasło dał nasz rząd, asygnując 13 miliardów zł na materiał wyjściowy, czyli prosięta, na pasze i premie hodowlane. Kontraktacja przewiduje 1.000.000 sztuk zamówionych u hodowców w roku 1949. Osiągnięcia w ciągu kilku zaledwie tygodni mamy bardzo duże. Na dzień 30 marca zostało zakontraktowanych już 460.000 sztuk, czyli roczny plan został wykonany w 46 proc.

Akcja „H” rozwinięta jest jeszcze lepiej, jeśli usuniemy szereg błędów.

Jednym z takich błędów jest zbyt jednostronne podejście do tej sprawy mianowicie przeważające zainteresowanie od strony handlowej. Agenci Centrali Mięsnej zwracają uwagę na stronę obrotową, co jest naturalne i zgodne z ich fachem, lecz gdyby gminne spółdzielnie współpracowały bliżej nie tylko z Centralą Mięsną, lecz i ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, wtedy unikłoby się jednostronności. Akcja „H” bowiem to wstęp do długofalowej polityki hodowlanej, która winna doprowadzić do podwołania pogłowia trzody chlewnej. Ażeby ten cel osiągnąć, należy szczególnie troskliwie wysłuchiwać głosów małorolnych i średniorolnych chłopów i uczyć się na popełnionych błędach, usuwając je jak najszybciej z akcji „H”.

Należy jak najszybciej porzucić papierowe normy, które niechęcią chłopów do kontraktacji. Tak np. w powiecie łęczyckim wyznaczona została premija waga żywca na 165 kg, zakładając, że chłopci będą hodować świnię rasy angielskiej wielkiej. Ale rasy takiej nie ma w pow. łęczyckim. Są tam zwykłe polskie świnię, których maksymalna

ekonomiczna waga wynosi 135 kg. Należy więc i w łęczyckim i w innych powiatach zarzucić papierowe, urojone rasy, a kontraktować świnię takie, jakie są w terenie.

IV.

Związek Samopomocy Chłopskiej jako pionierska organizacja w Polsce Ludowej, nie może oczywiście poprzestać na ulepszeniu życia i organizowaniu pracy wyłącznie w dotychczasowych ramach ustrojowych. Do takiego wąskiego odcinka zacieśniały się usługowe organizacje okresu kapitalistycznego, jak kółka rolnicze i izby rolnicze wraz ze spółdzielniami rolniczo-handlowymi. Służyły one wiernie rządowi sanacyjnym, obszarzkom i kapitalistom, usypiając swą propagandą rewolucyjną czujność wyniszczonych nędzą mas chłopskich. My dziś dobrze wiemy, że życie w miejscu stać nie może, że jest ono podobne do rzeki, która gdy ją się zatamuje, wzbiera i burzy tamy. Dopóki woda nie przeniesie tamy, rozlewa się po wybrzeżach i tworzy stojące, zgniłe zalewisko. Tak działa się u nas za czasów panowania zwrotnego kapitalizmu, tak dzieje się jeszcze do dziś w wielu krajach, gdzie klasa panująca wyzyskiwała starą się zatamuwać żywy strumień rozwoju. W Polsce już dziś każdemu wiadomo, że będziemy stopniowo przebudowywać ustrój rolny, że wyszliśmy z bardzo skromnym na początku planem spółdzielczości produkcyjnej. W roku bieżącym mamy zamiar stworzyć kilkadziesiąt spółdzielni produkcyjnych, co wyniesie zaledwie 1 proc. gromad. Na przeszło 40.000 gromad powstanie około 400 spółdzielni produkcyjnych, przeciętnie na 7 do 8 gmin jedna spółdzielnia. W organizowaniu spółdzielni biorą udział partie polityczne, Centrala Rolnicza Spółdzielni Gminnych „Samopomoc Chłopska” i Związek Samopomocy Chłopskiej. Rząd nie kieruje tą akcją. Rząd tylko patrzy przychylnie i gotów jest do poparcia tej sprawy. Reakcyjniści triumfują i krzyczą: aha, widzicie — odbiora wam wszystkim ziemię! Naiwni i nieświadomi często dają temu wiarę, choć już coraz mniej jest naiwnych.

Statuty wzorcowe, wydane przez Centralę Rolniczą Spółdzielni Gminnych „Samopomoc Chłopska”, ukazują dowodnie, że zakładanie spółdzielni produkcyjnych — to sprawa chłopów. Chłopi decydują, chłopi ryzykują. Nikt im tego nie narzuca, nikt ich do spółdzielni nie napędza i napędzać nie będzie. Faktem jest, że kilkadziesiąt wsi już zgłosiło chęć założenia spółdzielni produkcyjnych, choć nie ma w Polsce tak nierozumnego, choćby najbardziej zjadłego reakcyjnego, aby mógł zarzucić, że którąkolwiek z tych wsi ktokolwiek przymusza. Jeśli tak jest — a tak jest niewątpliwie, to trzeba stwierdzić, że w Polsce istniał dotąd z czasów kapitalistycznych raczej odwrotny przymus, mianowicie przymus indywidualnego gospodarowania. Toć jeszcze przed 1927 r. zgłosiło się do Niezależnej Partii Chłopskiej kilkadziesiąt wsi z uchwałami, podpisanymi przez ogół chłopów tych wsi, że pragną założyć spółdzielnię produkcyjną. Ponieważ wtedy istniał surowy,

kapitalistyczny przymus indywidualnego gospodarowania na drobnej parceli, więc nie tylko nie doszło do zawiązania zgłoszonych spółdzielni, lecz wręcz przeciwnie doszło do rozwiązania Niezależnej Partii Chłopskiej, która takie zgłoszenia otrzymała. A przecież i w Polsce Ludowej w pierwszych latach rząd robotniczo-chłopski zezwolił jedynie na założenie czasowych spółdzielni parcelacyjno-osadniczych, natomiast nie dopuszczał do tworzenia spółdzielni produkcyjnych, ulegając wpływom zbyt wrażliwych na opinie, urobioną przez kapitalizm, czynników politycznych. Idee i plany spółdzielczości produkcyjnej rodziły się w środowisku chłopskim nie tylko w głowach komunistów, ale także ludowców i „wiczarzy”. Były na ten temat artykuły w prasie ludowej, idee taką propagowała „Chłopskie Życie Gospodarcze” w latach 1935—37. Oddźwięk tych idei znalazł się w deklaracji Zw. Mł. W.R.P. „Wici”, uchwalonej na Walnym Zjeździe Krajowym w 1935 r. A przeczytając uważnie piękna i smutną książkę obecnego marszałka sejmu Władysława Kowalskiego pt. „Dalekie i bliskie”, napisaną w 1931 r. Jakież można z niej wnioski wysunąć, jak nie radykalną reformę rolną i w oparciu o nią spółdzielczość produkcyjną?

Toteż obecnie sprawa stoi w ten sposób, że chłopci mogą tworzyć spółdzielnię produkcyjną. Pomagać im będą ich własne organizacje polityczne, zawodowe i spółdzielcze, a rząd będzie takie spółdzielnie popierał. Któż zaś będzie straszył chłopów i zmuszał do spółdzielczości produkcyjnej, ten będzie karany, choćby to był komendant milicji, czy gminny sekretarz PZPR. Będzie także surowo karany ten, kto będzie straszył chłopów prześladowaniem w wypadku, gdy postanowią założyć spółdzielnię, niezależnie od tego, czy to będzie zacofany proboszcz, czy bogacz wiejski. Sprawa stoi jasno: nie ma przymusu zakładania spółdzielni produkcyjnych, lecz i nie ma przymusu indywidualnego gospodarowania.

Ci, co dzisiaj nie wierzą w zalety spółdzielni produkcyjnej, niech gospodarza oddzielnie. Będą mieli czas przyręczyć się, jak to pójdzie innym i wtedy ocenią przydatność nowej formy ustroju rolnego. Nie może oczywiście dziwić nikogo, że nowe spółdzielnie muszą mieć odpowiednie wzory statutu i że muszą uzyskać zatwierdzenie przez Centralę Rolniczą. W przeciwnym razie stworzyłyby się chaos i marnotrawstwo w wypróbowaniu dowolnie pomysłańców fantazji.

Należy tylko stwierdzić, że rząd nasz i ZSCh. będzie się nadal troskliwie opiekował małorolnymi i średniorolnymi gospodarstwami, będzie ich bronił przed wyzyskiem i uciskiem kapitalistów, będzie organizował życie wsi zgodnie z przedstawionymi przeze mnie zasadami i będzie liczył na chłopów indywidualnie gospodarujących, że dołożą wysiłku, aby podnosić produkcję i w ten sposób zapewnić wyższą stopę życiową sobie i robotnikom.

Stefan Ignar

Henryk Syska

NARÓD CZY RZYM?

„Wiemy, że wasza—kleru—oieczyna była i jest w Rzymie i jeśli wam z nią dobrze to się jej trzymajcie. My, lud nie myślimy wam w tym przeszkadzać ani zazdrościć. Ale mamy prawo żądać i żądamy, iżbyście nareszcie tę naszą ludową zostawili w spokoju, byście nam nie przeszkadzali odradzać się dla niej”

I.

Isko czterdzięci lat upłynęło od chwili, gdy Mateusz Manterys, chłop z Kieleckiego wypowiedział te słowa na łamach „Zarania” pod adresem biskupa Łosińskiego. Wiele od tego czasu zmian zaszło w stosunkach społecznych i politycznych kraju. Nie postąpiło wszakże ani kroku naprzód polskie duchowieństwo. Tak jak lat temu kilkadziesiąt żyje ono w izolacji od najżywniejszych potrzeb narodu i jego pozytywnych osiągnięć, jak lat temu kilkadziesiąt i kilkadziesiąt woli bić się w marzeniach po zaułkach Wiecznego Miasta niż wiązać się organicznie z życiem codziennym narodu, wśród którego wzrasta i pracuje.

Pamiętamy, jak wiosną 1948 roku Polska opinia społeczna poruszona została listem pasterskim do narodu niemieckiego w sprawie naszych granic zachodnich. Przez kraj cały przebiegła wówczas fala oburzenia, przeciwko polityce papieskiej, biorącej w obronę odradzącej się hitlerowski rewizjonizm. Przez długi czas milczał jedynie kler. Zabrakło mu odwagi, aby publicznie oświadczyć, że w tym wypadku Watykan przebrał już miarę, że uderzył w naród, który najwięcej wycierpiał w czasie ostatniej wojny. Episkopat polski tego jednak nie uczynił. A kiedy wreszcie po dłuższym milczeniu odezwała się katolicka publicystyka na łamach „Tygodników Powszechnych”, „Rycerzów” i innych „Niedzieli”, kiedy zaczęły się wreszcie odezwać po wielu miesiącach książce kościoła polskiego ks. kardynał Hlond, to nie z zamiarem odparcia nieślusnych i oszczerstych argumentów papieża, lecz w tym przede wszystkim celu, by go różnymi sztuczkami scholastycznymi wybielić, by zrobić z niego, o ironio, apostoła i obrońcę ludu polskiego. Zabrakło duchowieństwu polskiemu odwagi, by zaapelować u papieża „zle poinformowanego”. Jakże daleko naszemu duchowieństwu do utrzymania godności narodowej, reprezentowanej choćby na przykład przez kler Irlandii w końcowych latach ubiegłego wieku, kiedy ten ostatni okłaskiwał żywiołowo jednego z czołowych przywódców narodowych swego kraju. Przywódca ów, oświadczając publicznie konflikt z papieżem podobny do naszego sprzed kilkunastu miesięcy, użył nader mocnego i dosadnego zwrotu:

„Czcigodny stary gentleman uczyniłby lepiej, pilnując spraw bliższych i nie zaglądając do Irlandii, bo na tak znaczną odległość nawet nieomylnie oko błąd popełnić może”.

Na tak śmiały opowiad duchowieństwo polskie nie zdobyło się. I nie dziwnego, zbyt jest bowiem mocno przejęte wiernopoddanych serwilizmem wobec rozpłakanych przedstawieli opoki piotrowej. Zbyt mało jest samodzielne w myśleniu. Zbyt głęboko jest przejęte kultem dla starej burżuazyjnej przeszłości, w której Watykan jest jednym z podstawowych i autorytatywnych podopór moralnych.

II.

W jaki sposób polityka papieska starała się wychować katolicki lud polski w ślepych posłuszeństwie zaborcom świadczy list, Leona XIII do biskupów polskich wszystkich trzech zaborów. List ten drukowano w 1894 roku w prasie katolickiej, w rządowych dziennikach, odczytywano go z ambon. Dowiadujemy się z niego, między innymi, że Kościół:

„Nie uczy ani nie nakazuje niczego zgoda, coby w najmniejszej mierze sprzeciwiało się dostojestwu monarchów. Panujący piastują władzę nad ludami z ramienia Bożego nadania. Poddani powinni panującym okazywać cześć i wierność, tudzież jako Bogu przez ludzi królującemu, uległość nie tylko dla gniewu, ale też i dla sumienia. Czynieć za nich prośby, modlitwy, dziękowania, powinni stosować się święcie do przepisów państwa, zdawać się trzymać od wszelkich inowacji, intrzyg czy rokosz, przykładając się wszystkimi środkami do podtrzymywania porządku i pokoju. W łonie trzód waszych najpożądaną zaistniałoby rzecz, ażeby strzec się podstępów ludzi przewrotnych, w zbrodniczym zaślepieniu nie cofających się przed nieczym dla zwalczania i podkopania władzy. W wierze świętej należnej Bogu czerpać podniecie do wierności względem państwa i monarchów”.

Są to słowa najwyższej głowy Kościoła. Słowa, które miały być drogowskazem dla ujarzmionego przez trzy potęgi militarne narodu. W dalszych złotych radach papieskich znajdujemy pouczenie, jak ma się duchowieństwo i lud zachować w stosunku do poszczególnych władców.

„Wy podlegający przesławnemu domowi Habsburskiemu mieście na baczności, ile zawdzięczacie dostojnemu cesarzowi w najwyższym stopniu do wiary przodków przywiązaniu. Udawadniając tedy z dniem każdym jawnie swą względem niego wierność i pełną wdzięczność uległość”.

„Zwracamy się do was, co zamieszkujecie prowincję poznańską i gnieźnieńską. Miło

nam widzieć, z jakim posłuszeństwem i przywiązaniem czynnym rządom jednomyślnie sprzyjacie. Pozwala to mieć nadzieję, że sprawy katolickiej będzie u was pomyślniejszym. By zaś nadzieję tę na tym pewniejszych oprzeć podstawach i pewniejszego oczekiwać spełnienia życzeń, nie bez przyczyny zalecamy wam ufnosć w wielkoduszną sprawiedliwość cesarza, o jego bowiem względem was przychylności i życzliwym usposobieniu osobiście od niego samego powzięliśmy wiadomość”.

Powyższe nauki papieskie ogłoszone przez usta polskiego duchowieństwa polskiemu ludowi, wówczas, kiedy wśród ludu tego rozbudzała się coraz bardziej świadomość narodowa, kiedy serca jego ożywiła już tęsknota do samodzielnego bytu państwowego, kiedy tysiące najlepszych synów Ojczyzny pędzonych było za działalność patriotyczną i społeczną na Sybir, konało w twierdzy Kursteńskiej, uginając się pod uderzeniem obucha kaizerowskiej policji.

Tak oto wyglądała bez maski kosmopolityzm papieskiego dworu. Kosmopolityzm, który błogosławił tyranie, a deptał prawa narodów. Kosmopolityzm, który ludowi kazał cierpieć, a możnym używać dóbr ziemskich. Kosmopolityzm, którym w tej chwili szarżuje zapamiętałe propaganda anglosaskiego imperializmu. Czy ta zbieżność poglądów Rzymu i Waszyngtonu jest przypadkowa, czy też wspólnie przemysłowa i uzgodniona — niech osądzą czytelnicy.

III.

Kiedy po długich latach milczenia wystąpiły na widownię życia politycznego wyzwolenie ruchy chłopskie i robotnicze, cały autorytet ołtarzy obrócił się przeciwko ich działalności. Przypomnijmy listy pasterskie biskupów galicyjskich przeciwko „Przyjacielowi Ludu”, „Wieńcowi i Pszczółce”, czy socjalistycznemu „Naprzodowi”. Dobądźmy z archiwów kurialnych kurendy przeciwko „Zagonowi”, „Siewbie”, a zwłaszcza „Zaraniu”, odszukajmy teksty potępienia na demokratycznych kapłanów, jak ks. Stanisław Stojalowski, czy o. Antoni Wyślouch (Szech), kapucyn z Nowego Miasta. Sięgnijmy do notatek starych działaczy ludowych, którzy zwierają się nam z własnych doświadczeń na tle walki z plebianą, gdy wieś się budziła poezją. Dość liczne są dowody, odkrywające ciemną stronę działalności polskiego kleru. Podobnie w okresie dwudziestolecia prowadzono walkę z chłopką lewicą przy pomocy ambon konfesyjnych i dewocyjnych gazet. W 1928 r. biskup diecezji łomżyńskiej, Stanisław Łukomski, wskrzeszając

tradycję niesławnej pamięci biskupa Zdzitowieckiego i Łosińskiego wydał list pasterski, w którym potępia działalność socjalistów i ludowców. List ten odczytany został po wyborach do Sejmu i Senatu w 1928 roku. Ostrze jego skierowane było przeciwko tym wioskom i parafiom, które nie usłuchały agitacji kazalnicy, lecz poszły własną, samodzielną drogą.

„Pamiętajcie o tym, wyborcy socjalistów, wyzwolenców, komunistów i tzw. Stronnictw Chłopskich, że każda uchwała w Sejmie tych przez was obranych posłów, szkodliwa dla wiary i Kościoła, ciężarem młota spadać będzie na wasze sumienia i że wy za te ich uchwały przed Sędzią Bożym odpowiadać będziecie, boście na takich posłów dobrowolnie głosowali”.

Zgorszenie dane przez takich wyborców całemu ogółowi katolickiemu i krzywdą wyrządzoną Kościołowi Bożemu nie może minąć bez dania Bogu zadość uczynienia w tych parafiach, w których się znaczniejsza liczba takich wyborców wykazała.

Przeto rozporządza, aby na znak żałoby i smutku w parafiach o znaczniejszej ilości głosów oddanych na listy socjalistów, Wyzwolenia, Stronnictw Chłopskich zaniechano obicia uroczystych procesji rezurekcyjnej. We wszystkich zaś parafiach zabraniam święcenia wielkanocnego w tych miejscowościach, w których oddano głosy na listy stronnictw wyżej wymienionych. Takim zaś parafianom, którzy upomnieli, nie wyrzekną się należenia do partii socjalistów, wyzwolenców, komunistów lub Stronnictw Chłopskich, należy odmawiać sakramentów św. i pogrzebu kościelnego. Podobnie postąpić należy z parafianami czytającymi pisma wymienionych stronnictw lub popierającymi je składkami swoimi”.

Czy długo jeszcze będziemy musieli powtarzać słowa chłopu Monterysa sprzed czterdziestu lat?

Wiemy, że wasza—kleru—oieczyna była i jest w Rzymie i jeśli wam z nią dobrze, to się jej trzymajcie. My, lud, nie myślimy wam w tym przeszkadzać ani zazdrościć. Ale mamy prawo żądać i żądamy, iżbyście nareszcie tę naszą ludową zostawili w spokoju, byście nam nie przeszkadzali odradzać się dla niej”.

Czy długo jeszcze będziemy czekać na stanowisko Episkopatu polskiego wobec Watykanu podobne do tego, jakie zajęło katolickie społeczeństwo irlandzkie z końcem ub. wieku?

„Czcigodny stary gentleman uczyniłby lepiej, pilnując spraw bliższych i nie zaglądając do Irlandii, bo na tak znaczną odległość nawet nieomylnie oko błąd popełnić może”.

V. Leduc

AMERYKAŃSKI „MEIN KAMPF” *) tłum. E. M.

Hitler nie ukrywał swoich dążeń do uzyskania hegemonii nad światem. Jego „Mein Kampf” był wielkim ostrzeżeniem nie tylko dla narodu niemieckiego, ale również dla całej ludzkości. W okresie gdy pisał tę książkę, był on jedynie mało znanym agitatorom. Okoliczność ta nie jest jednak usprawiedliwieniem dla tych rządów, które ze zbrodniczą lekkomyślnością nie dostrzegały pouczeń, jakie można było wyciągnąć z „Mein Kampf”, zanim wydarzenia, punkt po punkcie, nie potwierdziły intencji jego autora.



„Demokraci” — Marshall i Dulles

Istnieje jednak również „Mein Kampf” amerykański. Autorem tej książki o bardzo charakterystycznym tytule „O panowanie nad światem” jest James Burnham, którego pierwsza książka, tłumaczona na język francuski („Era organizatorów”) uzyskała pochwalną przedmowę Leona Bluma. Ciekawe jest, że podczas gdy wokół „Ery organizatorów” powstał wielki szum, trwający po dziś dzień, druga książka Burnhama została przyjęta przez chwalców pierwszej zacierpieniem wody w usta.

Zauważmy, że wydawnictwo, które wydało książkę „O panowanie nad światem”, a które nazywa się rozkosznie „Liberté de l'Esprit” („Wolność ducha”) i jest prowadzone przez Arona, wybitnego działacza degaullistowskiego R. P. F., parę miesięcy przedtem opublikowało pracę pana Lucien Morice „W kierunku imperium światowego”, zmierzającą do podobnych wniosków, jakie spotykamy w książce p. Burnhama. Książka p. Morice'a również nie została dostrzeżona. Była widocznie przeznaczona dla „elity”, a popularyzowanie jej nie było chwilowo wskazane (ukazała się w drugim kwartale 1947 roku, a więc zaledwie w dwa lata po zakończeniu wojny!).

Wydarzenia ostatnich miesięcy nadały jednak znacznie większy, a nieprzewidywany zasięg pracom teoretyków wydawnictwa „Wolność ducha”. Książki p. Burnhama „and Co” postawiły doktrynę Trumaną i plan Marshalla w przeraźliwym świetle. W chwili, gdy od Bluma do de Gaulle'a słyszy się tylko jeden głos wychwalający amerykańską wspólnotę, pod szyldem „Wolności ducha” i dzięki staraniom władz R. P. F. zostały nam pokazane prawdziwe zamiary naszych „dobroczyńców”.

Wejrzymy najpierw w książkę Jamesa Burnhama „O panowanie nad światem”.

„Kierownicy gospodarki amerykańskiej popycha i przez potencjał swoich fabryk, naślawionych na produkcję masową, chętnie widzieliby świat jako pole oczekujące na deszcz towarów, maszyn i pieniędzy amerykańskich. Czują się oni na siłach dostarczyć całemu światu wszystkiego bez pomocy tych bezwartościowych partaczy, jakimi są Anglicy, Niemcy czy Japończycy. Marzą oni o planecie, która byłaby przestronnym rynkiem zbytu produktów i maszyn amerykańskich oraz źródłem uciążliwych surowców. Jakim byłoby to błogosławieństwem dla ludzkości, gdyby się tak właśnie stało!”

Ale penetracja handlowa nie wystarczy. P. James Burnham pisze:

„W miarę jak potęga Stanów Zjednoczonych rozciąga się aż po Brazylię, po Afrykę, Chiny, Europę i Bliski Wschód staje się koniecznym jej skonkretyzowanie, upersonifikowanie przez ludzi i ich instytucje, przez żołnierzy, inżynierów, administratorów, agentów wywiadu, przez fabryki, lotniska, plantacje i koleje”.

Czyż może ktoś mieć teraz jakiegokolwiek wątpliwości co do znaczenia kredytów planu Marshalla? Jeśli tak, to rozproszy je następujące zdanie:

„Członkowie Kongresu dyskutują z ludźmi interesu na temat pożyczek dla Wielkiej Brytanii, Francji i Chin, tak jakby sprzeczała się na temat kredytów, które mają być przyznane jakiemuś przedsiębiorstwu za pośrednictwem miejscowego banku, zamiast uważać te państwa za instrumenty polityki światowej, jakimi są w rzeczywistości”.

„Rozumiem przez „imperium światowe” państwo, które niekoniecznie rozciąga się fizycznie na cały świat, lecz które panuje nad nim politycznie. Panowanie to będzie narzucone częściowo pod przymusem (prawdopodobnie przez wojnę, lecz na pewno przez groźbę wojny). W państwie tym grupa narodów, której jądrem będzie jeden z narodów istniejących, zachowa więcej niż przypadająca mu część władzy”.

„Zrozumiałem jest samo przez się, że próba ustanowienia imperium światowego nie da się zrealizować, jeśli otwarcie stwierdzimy, że celem naszym jest stworzenie imperium światowego. Należy użyć określeń łatwiejszych do przyjęcia, takich jak: „Federacja światowa”, „Republika światowa”, „Stany Zjednoczone świata”, „Rząd świata”, czy też nawet „Narody Zjednoczone”...

Doszedłszy do tego punktu nasz płomienny teoretyk imperializmu amerykańskiego nie potrzebuje już niczego ukrywać.

„Bez komunistów Francja mogłaby być dla Stanów Zjednoczonych wielką przyjaciółką i bastionem cywilizacji zachodniej w walce o

Paul Robenson

Ameryka to także ja

Czasem, gdy wracam do swych stron rodzinnych w New Jersey, moi przyjaciele z lat studenckich pytają mnie: „Co się z tobą stało? Byłeś tak spokojnym chłopcem, a teraz bez przerwy walczysz i uprawiasz politykę”.

Wracam wtedy myślą wstecz i pytam samego siebie, czemu należy przypisać to, że moja postawa życiowa tak bardzo zmieniła się od czasu, gdy byłem studentem. Uświadamiam sobie wtedy, że właśnie tu, w Anglii, pod wpływem waszego ruchu robotniczego, stałem się bojownikiem i zacząłem rozumieć politykę.

Po raz pierwszy przybyłem do Anglii na kilka lat przed wojną. Myślałem wówczas, że moim jedynym zajęciem będzie sztuka. To, co zobaczyłem w Mayfair bardzo mnie zakłopotowało. Pewnego dnia usłyszałem tam jednego z waszych arystokratów, który zwracał się do swojego służącego tak, jak do psa. Powiedziałem sobie: „Pawle, to tak samo, jakby mówił do ciebie jakiś Południowiec w Stanach Zjednoczonych”.

Zrozumiałem wtedy, że walka mojego czarnego ludu w Ameryce i walka wyzyskiwanych na całym świecie robotników stanowią jedną i tę samą walkę.

Były to lata kryzysu w Anglii. Pewnego dnia udałem się do górników walijskich i stoczniołców w Glasgow, by im zaśpiewać. Stałem na trybunie, biorąc udział w wielkich manifestacjach, które zorganizowaliście w sprawie republikańskiej Hiszpanii.

Czuje się w Anglii jak u siebie w domu. Płynąc kilka dni temu parowcem postanowiłem zaśpiewać coś dla jego załogi, a gdy przybyłem do Southampton, robotnicy stoczniołowi przyszedli na pokład i zwracali się do mnie po imieniu. Powiedziałem im wówczas: „Tak, jestem częścią tej Anglii”.

Przemawiam również za tymi siłami postępowymi Ameryki, które razem z siłami postępu we wszystkich krajach walczą z imperializmem na całym świecie. Będąc amerykańskim Murzynem jestem jednym z 15 milionów podobnych do mnie. Urodziłem się w Ameryce. Uczęszczałem na amerykański uniwersytet. Jestem produktem amerykańskich dóbr społecznych.

Moi przodkowie należeli do tych, którzy pierwsi zaczęli zaludniać Amerykę. Mężczyźni i kobiety mojej rodziny zostali sprowadzeni tu w 1620 roku jako niewolnicy. Należeli do tych robotników, których sprowadzono tu, aby budować Amerykę. W okresie tym wiele stałków płynęło na Zachód z siłą roboczą skutą kajdanami. Być może niektórzy z czytających te słowa są potomkami chłopów angielskich, sprzedanych plantatorom jako niewolnicy — po klęsce powstańców Monmouth walczących przeciwko Jakubowi II. Być może wśród waszych przodków znajdują się mężczyźni i kobiety przewiezieni na plantację jako służba kontraktowa, nie różniący się wiele od niewolników.

Oto jeden z aspektów historii amerykańskiej, o którym adwokaci prześladowań rasowych starają się zapomnieć. Podczas gdy Murzynów wysłano jako niewolników na plantacje bawełny, podobny los spotykał Anglików, Szkotów, Irlandczyków i Francuzów, będących ofiarami ubóstwa i tyranii. Praca

*) Paul Robenson, sławny śpiewak, muzyk, obywatel USA.



Wolność w kraju dolara

panowanie nad światem. Czasem trzeba jednak poprawić również przyjaciółkę. Stany Zjednoczone poparte przez Wielką Brytanię łatwo mogą zmusić Francję do dostosowania się do nich w kwestii niemieckiej; okazując się twardą Ameryką nie osłabiłaby swych więzów z Francją, lecz uczyniłaby je bardziej silnymi”.

Jest to dla nas dowodem, że pan Burnham nie jest fantazją, czy też ideologiem, które-

go myśli mijają bez echa. Zapewne, nie jest on Hitlerem, lecz mimo to książka jego zasługuje na porównanie z „Mein Kampf”. Wyraża myśl sfer panujących. Pan James Burnham bowiem jest jednym z doradców politycznych prezydenta Trumana.

Na zakończenie zacytujemy program „defensywny”, jaki proponuje pan Burnham rządowi Stanów Zjednoczonych (nie wyczerpuje to naturalnie tej prawdziwej kopalni, jaką stanowi jego książka w zakresie znajomości imperializmu amerykańskiego).

„Należałoby uznać, że pokój nie jest i nie może być celem polityki zagranicznej.

Należałoby zrezygnować z tego, co zostało jeszcze z doktryny „równości narodów”. Stany Zjednoczone powinny otwarcie uznać się za kandydata do kierownictwa polityką światową.

Należałoby całkowicie porzucić zasadę „nieinterwencji w wewnętrzne sprawy innych narodów”, która już obecnie jest jedynie pustą formą. W sprawach dotyczących polityki światowej normalnym postępowaniem powinna być interwencja szybka, energiczna i wystarczająca, a nigdy jakaś nieinterwencja. Zasada interwencji będzie tym bardziej skuteczna, jeśli zostanie ona wszędzie jasno zrozumiana”...

Polityka ta nie będzie mogła być zrealizowana, jeśli Stany Zjednoczone nie będą zdolne użyć siły, jeśli nie będą na to zdecydowane i jeśli nie będzie się o tym wiedziało. Możliwym jest, że nie będzie potrzebne uciekanie się do siły, względnie, że wystarczy częściowe jej zastosowanie. Koniecznym jest jednak, by zasada ta istniała jako przesłanka, gdyż w przeciwnym wypadku sylogizm polityczny jest niedoskonały”.

„Sylogizm polityczny”, jak rozumie go Burnham i jak praktykuje Truman jest następujący: by zdobyć panowanie światowe należy przygotować wojnę.

Wojna jest również ulubionym tematem pana Lucien Morice. O ile nam wiadomo, nie jest on Amerykaninem. Lecz mimo to z większą dozą liryzmu niż pan Burnham uświata perspektywę „Imperium światowego”. Opiewa radość poddania się Stanom Zjednoczonym:

„Rozważając sprawę utworzenia imperium trzeba zauważyć, że jego natychmiastową konsekwencją jest zniszczenie możliwie całkowite wszelkiego aparatu narodowego. Utworzenie imperium niszczy armię, która jest instrumentem tego oporu, aby zdać na łaskę i niełaskę oraz sparaliżować kierownicze organa danego narodu. Celem jego jest nie zniszczenie danego narodu, lecz ujarznienie jego pragnienia suwerenności. Ujarzmionemu narodowi zostawia się wszystko, co jest potrzebne do życia(?) i do pozostania samym sobą(?), lecz nie zostawia się jakiegokolwiek z środków, które umożliwiłyby mu nieposłuszeństwo”.

Cyniczny teoretyk imperializmu amerykańskiego brata się z radosnym apostołem kollaboracjonizmu i narodowego upokorzenia. Bratają się w apologii wojny, będącej ich wspólną i jedyną perspektywą.

Książki, o których mówiliśmy, nie są jedynie wyrazem osobistych opinii. Są one wyrazem pewnej ideologii, realizowanej przez pewną politykę. W chwili, gdy na całym świecie gromadzą się siły pokoju, książki te umożliwiają dokładne określenie niebezpieczeństwa, wskazując bez cienia wątpliwości na tych, którzy myślą o agresji i którzy ją przygotowują: na imperialistów amerykańskich oraz na ich neo-kollaboracjonistycznych współwinników.

Od
Administracji

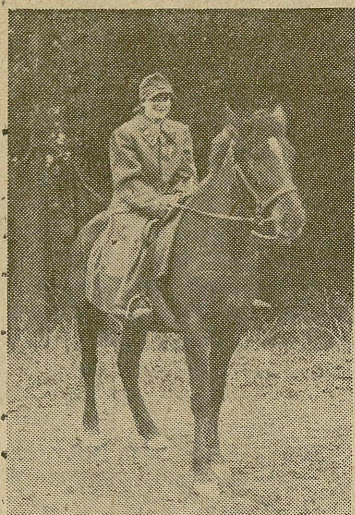
Przypominamy o wpłaceniu
prenumeraty na rok
bieżący

*) Fragmenty artykułu.

Józef Pogan

INTELIGENCJA NA WSI W CZASIE OKUPACJI

(PAMIĘTNIK, III.)



Partyzantka B. Ch.

W leś, o której pisałem w nr 47 i 48 „Wsi”, jest zewsząd otoczona wzgórzami i lasami, ma niewygodne drogi do szos, a zatem i do otaczających ją o kilkanaście kilometrów miast. Jest to wieś umiejscowiona w samym środku czysto rolniczego „krażka”.

To więc położenie wsi, jako też i mała willa dra M. w głębokiej wśród skał dolinie ściągnięły w czasie wojny kilkanaście inteligentnych rodzin z miasta na zamieszkanie, gdzieby z dala od posterunku policji, od siedzib Gestapo i żandarmerii niemieckiej można było mieć nadzieję na uniknięcie przesładowań ze strony okupantów.

Już w roku 1940, w willi dr. M. zamieszkało na stałe kilka rodzin, zarówno polskich jak i żydowskich: sędzia B., brat jego J., dyrektor M., doktor B., dyrektorka gimnazjum Z., aptekarka W., dwie wdowy po lekarzach, żona jakiegoś oficera, wreszcie nauczyciel gimnazjalny S.

W ślad za mieszkańcami willi sprowadziło się do wsi kilka żydowskich rodzin: byli właściciele sklepu monopolu spirytusowego, sklepu obuwniczo, sklepu żelaznego i paru biedniejszych „straganiarzy”. Także pewien filolog (Polak) oraz młody chłopak, syn lekarza. Ten ostatni służył jako pastuch u jednego z bogaczy.

Przedwojenne życie wsi, zamykające się w kręgu takich czynności, jak lepienie małych glinianek, wyprzedzanie chlewików na mieszkania, łożenie po okolicy z kosami, z cepami, latanie o świcie do harówki w okolicznych dworach, strzyżenie cudzych brzołek na miotły, wyładowujące się w stałym antagonizmie między biedotą a bogaczami, pobożnością i lojalnością wobec rządu jednych, a nienawiścią do kleru i rządu drugich, w ich narzekaniach i pomstowaniach — w czasie wojny przybrało inną nieco formę. Sama wojna zaciążyła na życiu wsi, ale i miejska inteligencja, która znalazła się na wsi, w różny sposób wpływała na zmianę pojęć i poglądów chłopów. Bo wśród tej inteligencji tak samo jak i wśród wieśniaków — istniały różnice materialnego życia i przekonań religijnych i polityczno-społecznych. Wiadomo: „straganiarze” czy proletariusze bardziej zbliżali się do wiejskiej biedoty, zaś ekskapitaliści i burżuazje — do bogaczy.

Tak jak i przed wojną, życie wsi dzieliło się nadal na dwa obozy. Jednemu przewodził: ksiądz proboszcz, mgr teologii, właściciel willi dr M. i właściciel skromnego folwarku P., drugiemu zaś biedny filolog i sędzia B.

Jak już wyżej wspominałem — „życie wsi przybrało nieco inną formę”. To znaczy, że wiejska biedota i jej zwolennicy z miasta nie zabiegali o dostąpienie przyszłości, walcząc jedynie o samo przeżycie wojny i o jakąś nieskrystalizowaną jeszcze w pojęciach sprawiedliwość społeczną po wojnie. Natomiast obóz przeciwny w różny sposób starał się udoskonalać i powiększać swój dobytek, jak również skupić wszystkie siły na religijno-mistycznej i „mocarstwowej, od morza do morza” propagandzie przyszłej Polski. Proroctwo „Wernyhory” stało się na ustach i szumiało w uszach.

Przewagę oczywiście miał obóz „możnych”, zwłaszcza, że i kościół usilnie mu pomagał. Ksiądz proboszcz wygłaszał „wzniosłe” kazania i wybuchając „świętym gniewem i oburzeniem” — potępiał wszystko, co „nie od Boga pochodzi”. Słowa jego miały jakąś „utajoną moc” i paraliżowały umysły wiernych. Wyśmienicie pozwali księdzu do tej gry byli burżuazje i bogacze. W najgłębszej pokorze pochylali czoła, bili się w piersi i modliły, nie szepotali różańce. Przede wszystkim doktor M. „uroczyście” wyglądał „w uniesieniu duchowym”: przez cały czas nabożeństwa, w pochylonej pozycji, z utopionymi w ołtarzu wielkimi oczami — jak zahypnotyzowany szybko bebnął różaniec wargami. A dopiero w czasie komunii była ceremonia: potężną matronę, matkę doktora, syn i synowa brali pod ręce, klękali majestatycznie na stopniach ołtarza; obok nich po obu stronach wydłu-

żali rząd panowie i paru zamożnych chłopów; po nich dopiero klękały dewotki, po dewotkach „zwykłe, grzeszne ludziska”. Tak bywało co niedzielę, tak bywało czasem w powszednie dni.

W czasie kazania ksiądz proboszcz często wspominał o pobożności doktora M. Stawiał go całej parafii za wzór wiernego katolika. Pobożność doktora według słów księdza — pochodziła właśnie z mądrości i bojaźni Bożej.

W każdą niedzielę po nabożeństwie ksiądz i doktor M. udawali się na przyjęcie do jednego z najbogatszych wieśniaków. Dom jego był jakoby „wiejską agencją donosicielską”, gdzie wiadomości donosili: sługa kościelny i dewotki. Gospodarz spełniał rolę pośrednika, tzn. odbierał wiadomości i powtarzał je księdzu i doktorowi. A wiadomości bywały moc: „tytu, a tylu ludzi nie chodzi do kościoła, do spowiedzi, ci są niechętni klerowi, ci bolszewicy-komuniści, tamci zacządzili wroga propagandę, ten mehes naprawdę jest wiernym katolikiem, tamten od strachu spowiada się i przystępuje do komunii, ten pan jest nasz, tamten ciałem i duszą należy do pospółstwa; jeszcze inny igrza z ogniem i z Bogiem i wroga propagandę rozsiewa.

Na takich „meldunkach” i sprawozdaniach kończyło się w tym domu. Dopiero willa doktora była jakoby „drugą instancją”, gdzie na posiedzeniach w szerszym gronie „między innymi punktami programu rozgryzano i przetrawiano” całość wiejskiego życia. Rozprawiano o chłopskiej wytrwałości wobec trudów i wszelakiego cierpienia, o umiłowaniu ziemi ojczystej, o wierności małżeńskiej, która

winna być wzorem dla mieszczan, o bojaźni Bożej, lub na przemian o chłopskim nieprzełamanym uporze do innowacji, o obskurantyzmie, o skąpstwie i różnych dziwactwach, o ubogiej duszy itp. O, tam potrafili ocenić chłopca z ciałem i z duszą, zważyć go na gramy i miligramy.

Dr M. jakkowiek już przed tym odczuwał w sobie chęć „uzdrowienia błądzących dusz wiejskich” — po takich cennych z księdzem i burżuami dyskusjach umacniał się w swym postępowaniu. Tym bardziej w tej krytycznej chwili, gdy to z jednej strony trzeba „umacniać chłopów w patriotyzmie”, z drugiej znów baczyć pilnie, by zamieszkał inteligenci (ci z drugiego obozu) „nie wpełchnęli nieświadomych wieśniaków na błędną drogę”. Nie szczędził więc osobiście wskazówek, napomnień, ostrzeżeń z kim nie należy się wdawać, kogo jak diabła unikać itp. Żona zaś doktora założyła we wsi Akcję Katolicką, gdzie na zebraniach wygłaszała „piomienne” referaty. I czynem też popierała swe słowa, a jakże. Czasem np. podała jakiemuś biedakowi kawaleczek chleba z herbatką, ciasteczko, przez służącą posłała stare skarpeciska, nawet kożusko. A zawsze z domówieniem: „Zamożniejsi, szlachetni ludzie, mający Boga w sercu, winni biedaków wspomagać. Idea chrześcijańska tak nakazuje”.

Było jednak wielu wieśniaków, orientujących się w tej dziwnej, pańskiej grze. W dodatku ów biedny filolog pilnie wszystko obserwował i obłudę opiekunów wsi przy każdej okazji odsłaniał. Nienawidził go więc, nazywając „dziwakiem, odosobioncem, wykołajnikiem”, lub jak ksiądz — „zaślepieniec”.

Jerzy Miller

W MARSZU

Kapia się wśród wysokich traw pasikoniki
niżej płynie rzeka gdzie się kapia ludzie
Piasek o kolorze ciała ukrywa ich ciała
i pejzażu rozpala żółte nieśmiertelniki
są to trzmielce psre których ukiucie
płoszy konie i ciszę oddala

Ludzie przeszli ku haszczom gdzie
zwitki bielizny bieleją i zielone nikną
mundury w gąsienicach tarniny i wierzb
karabiny w kozłach i luźne rzemyki
tornistrów ułożonych w rząd a nie jak kto chce
w wąwozu ciasnym przesmyku

Była piękna niedziela i gołe
bez chmur niebo oglądało nagusów
którzy siedzieli na dole
gdzie wodospadu drgał muskuł

Zbłąkłe paznokcie otwierały szwy.
Na pół rozdzielni przetrząsali odzież
Żołnierze wtedy bili wszy
rękami spranymi we wodzie

NA JEDEN DZIEŃ

Odwraca się kontur miasta, które zna
już wojna. Nie rzeka, aby spłókała
mury; nie wiatrem, aby odsypał kurz.
Niechaj z afiszów odezwa
czerwona zrobi się biała
wapienna, biała jak mróz.

Krew niechaj się odczerwieni,
aby płynęła w ich takt.
Orkiestra niemiecka w niedzielę
idzie do parku i na mosiadzu płomieni
wygrzewa się słońca trakt
i towarzyszy kapeli,

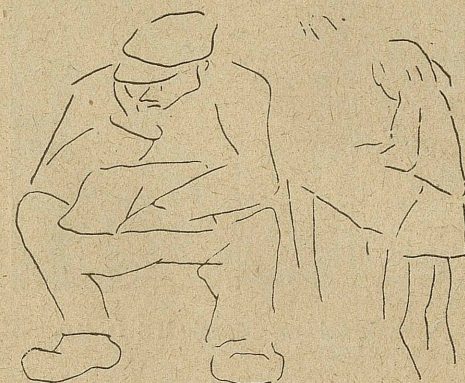
Krocza ze swymi dziewczętami lotnicy,
muttchen z pincerkami i major
piechoty i kilku einjaehrige
w srebrze naszywek. W zenicie
blasku pomarzyć i stają
jak odniechcenia w szeregu.

Świat zastęgl przy tamtym
jak gdyby glob kręcił się w kółko,
a nie posuwał się naprzód szalony.
Mieszkania, kawiarnie, puffy i werandy
i dziuple rynien, w których jaskółki
swe gniazda uwiły i tony...

Czyżby front zamilkł i spały okopy
na słońcu jak czerwie syte, bo martwe
i żaden w powietrze nie wleciał
samolot od Leningradu do Perekopu
aż po Bizertę i zwinął swą wartę
jak namiot w spalonym lesie.

A nieruchomy przedmieścia obraz
poprzez szczeliny w oknach i rdzawe
zamki u drzwi czaił się jak bezwolne
cielsko bagniska i orszak,
który przemierzał Warszawę,
szedł przecież naprzeciw wojnie!

Prawdę mówiąc, ów filolog był w niektórych sprawach trochę dziwakiem, jednak uczciwym, prawdomównym i z prostym ludem żyjącym. W każdy niemal wieczór wychodził na wieś, a wokół niego skupiała się co pośledniejsza biedota, słuchając objaśnień sytuacji wojennej, politycznej, o rozpanoszeniu i rozwydrzeniu kleru w średniowieczu, o okrucieństwach św. Inkwizycji itp. Napisał też humoreskę pt. „Szatan”, którą czytał bliższym przyjaciółm. Charakteryzowała ona trafnie księdza proboszcza zarówno w opisie postaci jak też w jego dyktatorskim stosunku do parafian, tym nakazie „psiego obowiązku składania ofiar na kościół, w tej nienawiści do nie chodzących codziennie do kościoła, do spowiedzi, nie odprawiania nowenn dziewczęciu piątek”... Nic więc dziwnego, że biednego magistra żaden z inteligentów nie odwiedzał, bo nawet ci, co byli po stronie biedoty, też mieli pewne skrupuły co do towarzyszenia z „dziwakiem i bezbożnikiem”. Zły więc jak pokutnik w wilgotnym mieszkaniu i głodował jak każdy wiejski biedak. Kupioną czasem kwartę ziarna meł w żarnach u sąsiadów.



* * *

Nadszedł rok 1941, a z nim w dolinie głodowe lato — ciężki przedwiosek, jakiego nawet najstarsi ludzie nie pamiętali. Biedacy ledwo ziewający od osłabienia, wariowali niemal z lęku przed śmiercią głodową, łazili z workami od wsi do wsi niby te kapiące muchy na jesieni, a wśród pobożno-bogackiej kliki życie płynęło normalnie: pieczywa, wędliny, wódka, przyjęcia, radość życia... Ksiądz nadal wygłaszał kazania, a doktor rozdawał moralne wskazówki i pouczenia. Doktor wytrząsał skądś 10 korcy żyta i pszenicy, właściciel folwarku wiele metrów nawozów sztucznych, bogacze zaopatrywali się w odzież i narzędzia... A biedacy skamiał daremnie o ćwierć ziemniaków na odrodek czy za pieniądze... Pono bogacze nie mieli dla nich zboża — mieli tylko robotę po 10 złotych za dzień, gdy kilogram żyta kosztował 12 złotych. Taka była wojenna „norma” zapłaty za pracę, a kto żądał więcej — spotykał się z rażącą odmową. Ileż to było prześmieszek, wydrwiwań, gdy jedna Żydówka, była straganiarka, chciała iść w pole do pracy u bogacza za pół bochenka chleba... A wieleż to razy małe dzieci bogaczy powtarzały do siebie: „Moja mamusia poszła się przespać do stodoły, bo przednowocorze nie dadzo jej się przespać w izbie, co tak ciągiem drzwiami chwierutajo. Zodnym przecie cudym mamusia z tatusem ni mogo sie ognąć przed przednowocorczami”.

* * *

Mordowanie Żydów wstrząsnęło biedotą chłopską. Widzieli oni w tym jakąś tragedię słabszej części ludzkości, która stopniowo będzie miażdżona w strasznych szczękach potwora; pobożnisie dopatrywali się w tym zemsty Bożej za umęczenie Chrystusa, zaś ci „możni” widzieli w tym jakąś nieuniknioną tragedię narodu, który nie ma swej ojczyzny. Dyskutowali też czasem nad tym czy „ich szkoda, czy nie szkoda”. Wychodziło przeważnie tak, że „ich szkoda jako ludzi, jako boskiego stworzenia, ale nie bardzo szkoda jako narodu”. Jednak nie zdradzali się przed Niemcami, a nawet tym „możniejszym” i ochrzczonym pomagali do ukrycia się. I dumni byli z tego, że wypełniają to, co „chrześcijańska miłość względem bliźniego nakazuje”.

Wybuch powstania warszawskiego ogromnie „możnych” uradował, bo według nich „sama Polska się oswobodzi od Niemców i rząd londyński wraz z Eisenhowerem przybędzie do Polski”. Dopiero upadek powstania zламаł ich wiarę „w mocarstwowość Polski”. Ho, ho, już to byli nie ci sami panowie co wpiersi! Już nawet i starych skarpet czy kożuski nie podarowali biedakowi. Zrobili się kwaśni, niedostępnymi, że nawet i wskazówek moralnych nie mieli ochoty udzielać.

„Umoralnianie” chłopów i rzucanie im o chłopów na przynętę „z chrześcijańskiej miłości bliźniego” skonczyło się wraz z nadchodzącą Wolnością.

* Część I — „Wies” nr 47.
Część II — „Wies” nr 48.

Andrzej Wasilewski

Droga pisarska Kazimierza Brandysa^{*)}



Kazimierz Brandys

I.

Pierwsza część cyklu „Między wojnami” — „Samsona” — określić można mianem **szkicu biograficznego**. Forma ta jest charakterystyczna dla pierwszego, przełomowego etapu rozwoju powojennej prozy.

Wiele momentów składa się na to, że nowe, postulowane przez krytykę marksistowską treści przyoblekły się w ten właśnie kształt literacki.

Po pierwsze — w ramach jednostkowego życiorysu najłatwiej da się zrealizować postulat „socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego”, tzn. takiego rysunku dziejów człowieka, w którym ujawnia się ich zależność od determinantów społecznego ustroju. Przejrzysta forma biograficznego szkicu pozwala ostro uwypuklić główne momenty realistycznej prawdy o losie człowieka w mechanizmie społecznego życia.

Po drugie — kompozycja utworu oparta na wyodrębnionych z szerszego tła dziejach jednostki jest nieprzeciętną tradycją „inteligentkiej” prozy: monografia realnego przebiegu życiowego zastąpiła monografię duchowych przeżyć inteligenta budującego swe mitologiczne światy. Wydaje się, że w nieumiejętności komponowania szerszych obrazów społecznego życia, w niemożności uchwycenia pełnej struktury obiektywnej rzeczywistości w tok czysto epickiego, powieściowego rozwiązania — tkwi zasadnicza trudność rzemiosła pisarskiego autorów, których poprzednie „inteligentkie” utwory zaabsorbowały były wyłącznie pojedynczym człowiekiem. Stare środki i doświadczenia pisarskie nie pasują do nowych treści. I oto wyłania się moment trzeci, sprawa szkicu. Szkic biograficzny jest, z literackiego punktu widzenia, formą niejednorodną: posługuje się nie tylko środkami ekspresji właściwymi literaturze pięknej, a więc językiem obrazów, przedstawień, ale i sposobami wyrazu przynależnymi essayom, studiom publicystycznym itp., a więc — językiem refleksji, pojęciowego skrótu. Sam przebieg poszczególnych wydarzeń jednostkowego życia jest oddany językiem przedstawień — ale uzasadnienie historycznej konieczności takiego właśnie przebiegu życiowego, ujawnienia go jako wypadkowej rozmaitych sił społecznych dokonuje się w esejistycznej wstawce. Konieczność uciekania się do tego rodzaju ujęć świadczy o nie dość pewnym i wnikliwym stosunku autora do tematu, o jego nie dość głębokim doświadczeniu społecznym, wreszcie, co jest tylko odwrotną stroną rzeczy — o nieopanowaniu techniki pisarskiej, odpowiadającej nowej ideologii artystycznej i nowej tematyce.

Spośród trzech omówionych momentów — z których przecięcia powstała forma szkicu biograficznego, pierwszy jest przejawem postępów i owonych tendencji literackich, dwa następne są okupem złożonym przez Brandysa prawu przełomów.

Zasadniczy zwrot Brandysa ku nowej, postępowej ideologii artystycznej, dokonał się w „Samsonie”. W „Antygonie” zaś widzimy przełamywanie się schematycznej konstrukcji szkicu biograficznego w formę powieściową. Dowód poniżej.

II.

Zasada zwierająca kompozycję „Antygony” jest w ostatecznym rachunku proces rozkładu stosunków kapitalistycznych. „Właściwym jej bohaterem jest przeciętny, walący się świat, u którego kresu czeka nieprawdziwe i straszne słowo: umarli człowiek” — pisze autor.

Ośrodkiem akcji jest los Ksawerego Szarleja. Krzywa jego życiowych sukcesów i upad-

*) Kazimierz Brandys: „Między wojnami”, cz. II „Antygoną”. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 246 i 1 nlb.

ków jest formą wypełnienia tej najogólniejszej zasady kompozycyjnej.

Szarlej, skażony w dzieciństwie chorobliwą atmosferą rozkładającego się ziemiaństwa, którego byt materialny stanie się dlań na całe życie nieosiągalnym wzorem, kolejno dworski fagas, lamistrak, aferzysta i oszust w sprzyjającej koniunkturze kapitalistycznych stosunków, podczas okupacji zostaje kolaborantem w zamian za udział w zyskach makabrycznego przedsiębiorstwa mordowania i łupienia Europy. Pozycja społeczna przedwojennego lokaja międzynarodowego kapitału i wojennego lokaja faszystowskich okupantów nie zmienia się zasadniczo, staje się tylko bardziej jaskrawa. Konstrukcja losu osobnika bez przynależności klasowej i bez moralnych zasad została przez Brandysa trafnie uchwyciona. Trafność ta polega nie na prostym odzwierciedleniu drogi życiowej przeciętnego przedstawiciela lumpenburżuazji, którego dzieje wypadłyby zapewne mniej awanturkowo, lecz na doprowadzeniu do naderadykalniejszego wyrazu tych społecznych tendencji, tych realnych możliwości, jakie wynikają z jego sytuacji i roli społecznej.

Rozmaitość burzliwych losów walki o majątek i awans społeczny powinna dostarczyć takiej ilości konkretnych, wyrazistych sytuacji, aby obnażył się w nich mechanizm ustroju miażdżącego w swych trybach nieświadomą jego biegu jednostkę. Pisarz-realistą bowiem, dla którego prawem kompozycji powieściowej jest przebieg procesu społecznego, nie może zaniedbać wyjaśnienia tej, niewidocznej na powierzchni zdarzeń, prawidłowości. Wówczas bowiem przypadki indywidualnego życia, tracąc swój symboliczny sens historycznej konieczności, nabrałyby wymowy groteskowej.

Jakie „konieczności historyczne” określają kompozycję „Antygony”? Konieczność pierwsza — los Ksawerego Szarleja musi zakończyć się klęską. Konieczność druga — musi upaść społeczna potęga ziemiańskiego dworu. Konieczność trzecia — musi nastąpić wybuch konfliktu między Ksawerem a Orszyną.

Jakimi środkami literackimi uzasadnia Brandys nieuchronność tych trzech finałów?

Konieczność pierwsza. Czytamy: „...szybko spostrzegł, jak zamyka się nad nim niewidzialne sklepienie, jak zgina mu kark i zmusza do uległości... a jednak powoli dawał się wpędzać w los podobny do innych, jak we wspólny ściek...” (str. 43, podkr. moje).

Oto mamy wyjaśnienie nieuniknionego upadku Szarleja. Pisaliśmy już, że różnorodność jego zmiennych losów mogłaby dostarczyć wachlarza konkretnych sytuacji, w których ujawniłby się sprzeczności procesu rozkładu kapitalizmu. Ale tu dochodzi do głosu prawa formy biograficznego szkicu, który z założeń swych nie rozporządza wachlarzem konkretnych sytuacji, który ogranicza do minimum kontakty bohatera z ludźmi (moment 2), ciągnąc pospiesznie i wśród abstrakcyjnych sformułowań nic jego losu. W skrótowym rzucie biograficznym konfliktu występują jako bezosobowe siły. Bezpostaciowość to — w konsekwencjach literackich — odautorski essay. I oto w miejsce zewnętrznych sił, które w coraz to innej postaci wyrastają na drodze życiowej Ksawerego przyspieszając lub opóźniając jego nieunikniony upadek — mamy ogólnikowe „niewidzialne sklepienie”. Jest to skaza w realistycznej materii utworu.

Konieczność druga — upadek potęgi społecznej dworu. Dla epickiego uzasadnienia tej historycznej konieczności musiałby autor wprowadzić w akcję utworu przedstawicieli ludowych sił, których napór podważałby, że rola ziemiańskiego polipa jest policzona na dni. Takie rozwiązanie nie mieściłoby się w ramach formy biograficznego szkicu. I oto Brandys rozszerza horyzonty polityczne utworu każąc Ksaweremu wysłuchać opowiadania Decza o kłopotach Orszyny z narastającym wśród dworskich fernali ruchem komunistycznym. Dzięki temu, zaaranżowana na ostatnich kartach utworu, śmierć Orszyny nabiera znaczenia symbolu.

Ten drugi sposób ukazywania historycznego charakteru przypadkowych wydarzeń mieści się wprawdzie w ramach szkicu biograficznego, ciąży jednak ku sytuacji powieściowemu.

Konieczność trzecia — stosunek Ksawerego do Orszyny, ich nieunikniony konflikt oparty na sprzecznościach ustroju społecznego, rozwija się w sposób całkowicie samodzielnny, powieściowy. Co znaczą te słowa — zaraz wyjaśnimy.

Już samo wyliczenie trzech typowych procesów społecznych, stanowiących o kompozycji „Antygony”, musiałoby nasunąć przypuszczenie, że Brandys przełamał konstrukcję jednostkowej biografii. Istotnie, postać Orszyny, jej trafnie uchwyciona funkcja społeczna — to osobny nurt w świecie „Antygony”.

Stosunki Ksawerego z Orszyną datują się od wczesnego dzieciństwa, kiedy to Ksawery, jako lokajski bratanek, dopuszczony jest do zabaw z panienką.

W tych czasach zarysowuje się między nimi dzielące uczucie nieświadomionej miłości. Ksawery szybko jednak uświadamia sobie, że te sielskie stosunki rychło zostaną zerwane: ja oddadza na pensję, a jego ubiorą w liberię. Ta refleksja jest bezpośrednim bodźcem do jego akrobaticznej kariery aferzysty.

W dwadzieścia lat później zostaje na jedną noc kochankiem Stanisławy Orszyny. Od tego czasu uczucie wzajemnej niechęci, zawisci, nienawiści rośnie wraz z pogłębianiem się różnic ich sytuacji społecznej. W czym jednak „powieściowość” tego wątku? W tym, że rozwój konfliktu odbywa się bez pomocy komentatora autorskiego, przebiega wyłącznie we wzajemnych spotkaniach. Konkretne i coraz to różne sytuacje stwarzają rozmaite typy wzajemnych urazów, odpowiadających ich kolejnym pozycjom społecznym.

Tak uzasadniony konflikt trzeciej konieczności kompozycyjnej „Antygony” jest już zaczątkiem realistycznych form powieściowych.

Nie bez zamysłu rozpatrzyliśmy trzy różne sposoby przewidywania przypadkowości w powyższym porządku. Sa one etapami w przełomie realistycznej metody Brandysa: od schematycznej konstrukcji biograficznego szkicu, poprzez formy pośrednie — do prawdziwie realistycznych konstrukcji powieściowych z ich skomplikowaną powierzchnią wydarzeń i z ich dialektyczną syntezą typowych procesów i niepowtarzalnych, pojedynczych, pulsujących żywą krwią spraw.

III.

Wnioski z dotychczasowych rozważań są więc — w stosunku do następnych tomów cyklu optymistyczne. Omówione zmagania są jednak jedynym okupem złożonym przez Brandysa prawu przełomów. Bardziej niepokojący — wobec braku śladów przewidywania — jest okup inny: sposób budowania postaci bohatera.

Pamiętamy główną postać „Samsona” — Jakuba Golda. Był on marionetkowym tworem zindywidualizowanym jedynie przez swoje cechy zewnętrzne. Realistyczna konstrukcja jego losu budowana została za cenę pozbywania go własnego oblicza. Był on bierną ofiarą mechanizmu historii.

Recenzenci „Antygony” przyznali już Ksaweremu pełny wymiar jednostkowych rysów. Istotnie, postać Ksawerego Szarleja jest o wiele pełniejsza, żywsza od postaci Jakuba Golda. Ksawery myśli, komentuje swoje i cudze uczynki, prowadzi swój wewnętrzny monolog. W tych sądach o świecie ujawniają się zasadnicze rysy jego charakteru. Sam jego trzon jest uwarunkowany klasowo: jego amoralizm jest cechą wspólną kapitalistycznych drapieżców, jego mentalność jest sposobem myślenia człowieka żyjącego poza masą społeczeństwa. Kim poza tym jest Szarlej? Człowiekiem, zwanym chorobą i życiem starcem, w gruncie rzeczy miłym i słabym w stosunkach z ludźmi, sentymentalnym miłośnikiem krajobrazu. Po pomyślnym przeprowadzeniu złodziejskich machinacji z papierami pożyczkowymi wrócił do Wilczek, gdzie: „...był spokojny, trochę smutny i łagodny dla ludzi. Opuszczał je z żalem i jeszcze raz ogłądał z ganku różowe pasma łąk na horyzoncie...” Balzak dałby mu raczej namiętne spojrzenie dorobkiewicza.

Ta znaczna niewspółmierność między jego awanturczymi dziejami, istotnie godnymi typowego krętacza, a podkreślaną na każdym kroku miękkością i łagodnością jego prywatnego charakteru jest bodajże głównym załamaniem ideologii artystycznej „Antygony”. Akt oskarżenia przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu wskutek takiego rozmieszczenia akcentów winy jest tym ostrzejszy. Zarazem jednak bohater z człowieka działającego staje się „produktem, narzędziem” ustroju. Cóż z tego, że jest on obdarzony indywidualnymi cechami, skoro te właściwości osobistego temperamentu nie odgrywają żadnej, a w najlepszym razie — minimalną rolę w wyborze i przebiegu jego życiowych dziejów. Chodzi tu nie tylko o fałszywą, fatalistyczną, bynajmniej nie marksistowską konstrukcję osobowości ludzkiej, lecz także o literackie, artystyczne konsekwencje takich założeń. Gdy dramat życiowy jednostki przebiega po linii wytyczonej zależnością między jej charakterem a całokształtem stosunków zewnętrznych — artystyczna konstrukcja losu ma głęboki sens społeczny i jest zarazem opowieścią o określonym, pojedynczym człowieku. Z chwilą odebrania jednostce prawa do wyboru własnego losu — pozostaje tylko ów sens społeczny. To dużo, ale za mało.

Pisaliśmy, że takie ujęcie osoby bohatera jest pewną nieprzeciętną tradycją pisarską Brandysa. W komentarzu autorskim czytamy: „...jeszcze jedna odmiana samotności... jeszcze jeden los, który się nie uda...”

Zdaje się, że jesteśmy na tropie ulubionego typu literackiego „inteligentkich” powieści: bohater „Drewnianego konia”, Jakub Gold i Ksawery Szarlej mogą stanąć obok siebie w jednym szeregu: wszyscy trzej to beznadziejnie, beznadziejnie zaplątane w rzeczywistość jednostki. Świat rzucił nimi jak piłką, oni zaś są biernymi uczestnikami tej okrutnej zabawy. Wszyscy trzej pochodzą z upodobania autora do natur słabych, nijakich, do duchowych mięczaków, którym „los się nie uda”. Inteligencja, bezwolny mięczak nie raz nas: jego struktura duchowa jest usprawiedliwiona w klimacie nieróbstwa, społecznej izolacji, przerafinowania kulturalnego. Ale Ksawery-Szarlej nie jest bezwolną ofiarą kapitalistycznego ustroju — on jest jego czynnym współuczestnikiem.

KAZIMIERZ BRANDYS

ANTYGONA


 1948
 „CZYTELNIK”
 SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

I oto nowa trudność rzemiosła pisarskiego w przełomowej fazie: trudność polegająca na nieadekwatności środków literackich „inteligentkiej” prozy do przedstawiania natur czynnych, zdobywczych, energicznych.

Jeszcze jeden wspólny rys wiąże omawiany tom z tradycjami pisarskimi autora „Drewnianego konia”. Kazimierz Wyka, charakteryzując postawę Brandysa — oskarżyciela mieszczańskiego i kapitalistycznego świata, napisał, że skręca on „bat na wszystkich mieszczańskich synków oprócz synka ulubionego”. Formuła ta zachowuje swą trafność także w stosunku do „Antygony”.

Rozmaitymi środkami mobilizuje autor współczucie czytelnika dla Ksawerego: opisaniami ustawicznych cierpień chorobowych, ujmowaniem jego losów jako dziejów zaszczutego zwierzęcia (sposób znany z „Samsona”, gdzie był jednak usprawiedliwiony). Nawet fizjologia starczego wieku przywołana zostaje na pomoc. Złowrogie rysy charakteru, drastyczność sytuacji miast potęgować się i uwyraźniać w ostrym świetle satyry, łagodnieją i zaciera się w pełnych czułości rękach autora. Wynik — Ksawery nie jest typowym aferzystą z epoki imperializmu. Sentymentalny, przeuczulony moralista zwyciężył realiste.

Ale nie brak Brandysowi demaskatorskiej ostrości widzenia w stosunku do pobocznych postaci utworu: wizerunkowi Orszyny nie oszczędzony został żaden, nawet najbardziej skandaliczny rys. Kilka pociągnięć oddaje dostatecznie typ socjologiczny kabotyńskiego sanacyjnego pułkownika — Tyńskiego. Parę suchych, wstrząsających uwag wystarczy, aby zarysować doskonały portret nowoczesnego „ucywilizowanego” niemieckiego rabusia — Pausta. To ratuje honor Brandysa realisty.

Dialektyka przełomów literackich ma swoje prawa: wiadoma rzecz, że przemiany artystyczne następują i wolniej, i trudniej niż przemiany ideologiczne postawy pisarza. To też sporządziłem powyższy pobieżny bilans dla zorientowania się w drodze rozwoju pisarskiego Brandysa.

Stało się tak z natury samej krytyki, że niedomagania techniki pisarskiej — i moim zdaniem — błędy ideologii artystycznej wysunęły się na plan pierwszy przesłaniając pozytywne, realistyczne osiągnięcia autora „Antygony”. W tej mądrej i śmiałej artystycznie książce, przekazującej czytelnikowi prawdziwą wiedzę o losie człowieka w dobie rozkładu kapitalizmu, widzę, jak to starałem się wykazać, drugi krok ku powieściowemu realizmowi socjalistycznemu.

Autor „Antygony” należy do pisarzy, którzy najodważniej wprowadzają do literatury nowe treści i po których najbardziej spodziewamy się spełnienia realistycznych postulatów. Niech to będzie usprawiedliwieniem postulatowego charakteru recenzji.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi”

**ZA ROK 1947 I 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI
1500 ZŁ.**

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wies” z zastrzeżeniem „za rocznik „Wsi” rok 1947 ew. 1948”

ADMINISTRACJA TYG. „WIES”

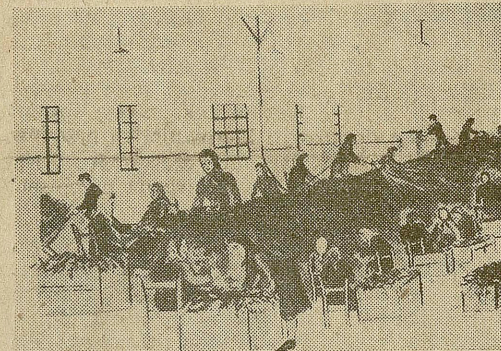
Paulina Czyżowa

Wystawa amatorów plastyków Zw. Zaw. w Łodzi



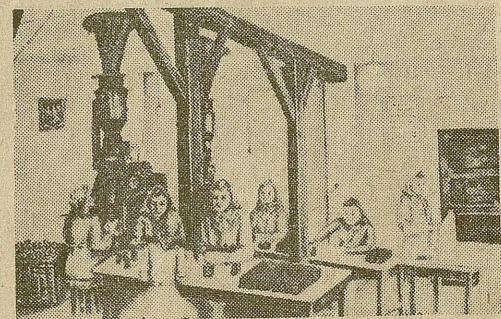
Anna Laufer — magazynier. — Ognisko Kultury Plastycznej

W Galerii Miejskiej w Łodzi otwarto niezwykłą wystawę — wystawę prac amatorów-plastyków, członków Związków Zawodowych. Na wezwanie OKZZ w Łodzi (impreza zresztą jest ogólnokrajowa, wystawy regionalne są eliminacyjne) nadeszło 300 prac. Są wśród nich obrazy olejne, rysunki, akwarele, parę rzeźb i malowideł na szkle. Autorami prac są zarówno pracownicy fizyczni jak i umysłowi, rzemieślnicy i ludzie zawodów, które kulturalnie ciąży ku drobnomieszczaństwu, ludzie bez żadnego wykształcenia plastycznego — talenty „samorodne” i uczniowie Ogniska Kultury Plastycznej pozostający pod ścisłą opieką szkoły.



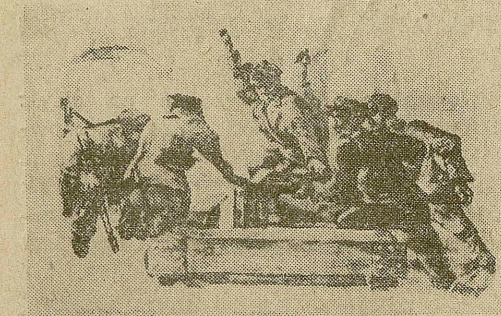
Wacław Molenda — robotnik PMT w Radomiu. — Rozłuskowywanie surowca tytoniowego — akwarela.

Układ tak pomyślanej wystawy daje przekrój formalno-rzeczowy, a nie socjologiczny. Pokazano mianowicie trzy etapy amatorsztwa plastycznego. Pierwszym z nich jest oczywiście kopiowanie z pocztówek, fotografii, różnego rodzaju landszaftów, oraz rozpowszechnionych reprodukcji, z tej tradycji malarskiej — jak np. „Szał” Podkowińskiego. Wybór wzoru do kopiowania świadczy już o pla-

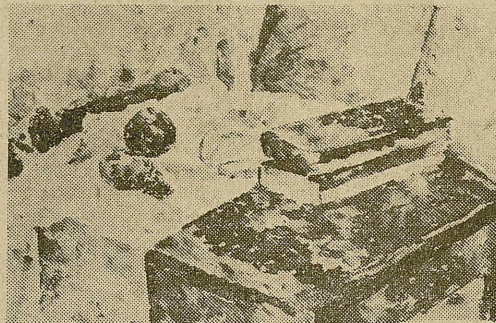


Z. Borucha. — Rysunek kredką

stycznym guście rysownika bez względu na to, na ile udolnie odtworzono kształt wzoru świadczącego ponadto o klasowo-kulturalnej przynależności. Przytłaczająca ilość ukazanych na wystawie kopii wprowadziła dobre mowy o czułości OKZZ wobec amatorów artystów, ale źle raczej o pedagogicznym znaczeniu wystawy. Ta część wystawy jest demaskująca. Odkrywa się tu wszędzie drobnomieszczański



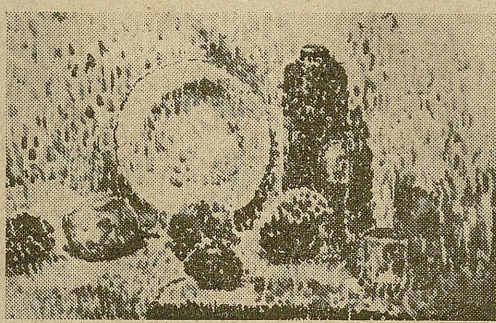
Zygmunt Janowski — rzemieślnik kolejowy — Scena z parowozowni Sempolno — nitowanie



Tadeusz Borkowski — iglarz. — Ognisko Kultury Plastycznej

smak — choć są tu prace robotników, rzemieślników, pół-inteligentów i inteligentów. Tu niestety nie wystarczają objaśnienia w rodzaju: pracownik PMS, referent. Wnioski narzucające się zbyt szybko mogą być krzywdzące dla oceny stanu kulturalnego klasy robotniczej. Wystawa podobna — tak samo jak i zbiór samorodnych utworów literackich tzw. literatury ludowej — może być jasna tylko przy dokładnym objaśnieniu życiorysowym autorów, przy określeniu ich wykształcenia, tradycji kulturalnych, stopnia świadomości klasowej. Wiele z tych obrazów jakby zdjętych z nad kanap i z zapluskowanych ścian jest groźnym przypomnieniem zaniedbania kulturalnego mas, które innych treści plastycznych nie wynoszą z wyglądu zewnętrznego miasta, wystaw sklepowych, wnętrza sal rozrywkowych, kin itd.

Drugi etap amatorsztwa to prace oryginalne, własne. Już zaznaczenie przez autora, że praca robiona jest „z pamięci” lub „z wyobraźni” musi być jako ambicja oceniona pozytywnie. Często jednak i „w pamięci” i „w wyobraźni” przechowują się pocztówkowe wzory smaku. Tutaj przecież, w tej grupie znajdujemy zjawiska najciekawsze. Tutaj zarazem wychodzi na jaw niejasność koncepcji wystawy, w której poprawne, ale bez żadnej indywidualności pejzaże i portrety mieszcza się obok naiwnych często, ale pełnych własnego życia kompozycji „samorodnych talentów”. Ścisłość, rzeczowość scen rodzajowych budzi zaufanie do ich wysiłków plastycznych. Spójrzmy np. na trzy reprodukcje prac oryginalnych przedstawiające sceny z warsztatów pracy. Np. „Rozłuskowywanie surowca tytoniowego”. Kompozycja tego obrazu malowanego gestą akwarelą jest spokojna, rzeczowa i szlachetna. W obrazie przedstawiającym „nitowanie” robotnicy ukazani są w tak pełnym geście, w takim skupieniu w punk-



Władysław Boniecki — hafciarz. — Ognisko Kultury Plastycznej

cie centralnym kompozycji, że istotnie wyczuwa się u autora prawdziwe doświadczenie fachowca-robotnika znającego się na pracy, którą przedstawia.

Zdawałoby się, że pedagogika plastyczna w stosunku do autorów podobnych prac powinna szanując ich indywidualne doświadczenie plastyczne i zainteresowania kompozycyjne — starać się o wydobycie i podkreślenie dobrych, własnych cech ich rysunku, nie zacierając, ale doprowadzając do świadomości naiwny zmysł dużych, pełnych życiowej dynamiki kompozycji figuralnych.

Tematyka, że tak powiem, „warsztatowa” tych prac może być oceniona tylko pozytywnie — świadczy o plastycznej uczciwości autorów, którzy już pod banalną papugą z poduszki na kanapie nie podpisują: „z pamięci”.

Ponadto świadczy ona o uwadze i poszanowaniu wobec warsztatu pracy, który staje się w ich pojęciu godny wyrazu artystycznego. Funkcja tego malarstwa amatorskiego jest niewątpliwie inna niż funkcja malowania kwiatów laurkowych, a nawet banalnych pejzaży.

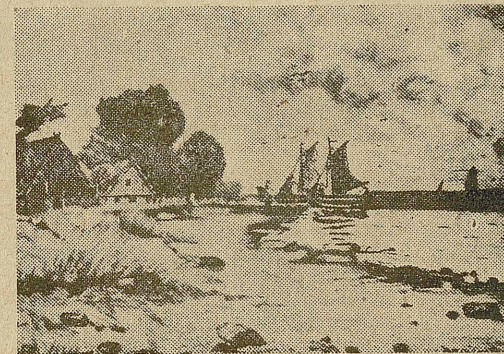
Wspomnieliśmy o zadaniach pedagogiki wobec artystów-amatorów. Te zadania spełnia właśnie Ognisko Kultury Plastycznej, którego prace stanowią trzeci etap artystycznego amatorsztwa i wydzielone zostały na wystawie wyraźnie pozytywnie. Widzimy tu dobre i poprawne rysunki szkolne: akty, portrety oraz dość manieryczne w wyrażeniu narzuconej technice punktowej „martwe natury”. Wyniki formalne zapewne imponujące, ale jednocześnie budzące wątpliwości i zarzuty.

Szkola i nieodłączna od niej maniera formalna są oczywiście koniecznym etapem wykształcenia plastycznego, ale są one po to, aby je po opanowaniu odrzucić i znaleźć samodzielną linię twórczości.



Jadwiga Hiszpańska — księgowa. — Ognisko Kultury Plastycznej

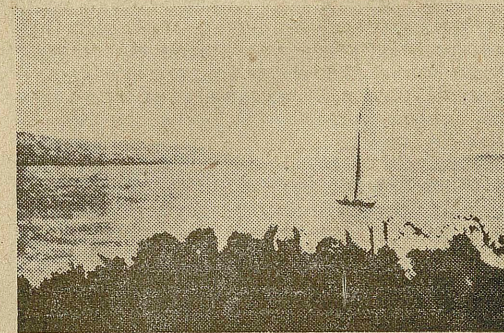
Dla kształcenia artystów-malarzy nie ma drogi poza szkołą. Inaczej chyba natomiast przedstawia się sprawa dokształcania plastycznego ludzi dorosłych, którzy nigdy za-



Walenty Napierała — pracownik Wyt. Lubań-Wronki Przem. Ziemiański. w Wągrowcu. — Brzeg morski

wodowymi malarzami nie będą, a malarstwo traktują albo jako zajęcie rozrywkowe, albo jako zapisywanie osobistych doświadczeń i wzruszeń plastycznych. Wobec tych niewątpliwie należałoby zastosować inne metody kształcenia.

Wątpliwości te może zechcą w dyskusji podjąć i wyjaśnić plastycy. Tutaj posłużą nam one tylko do usprawiedliwienia niepokojących wrażeń z wystawy amatorów-plastyków. Związki Zawodowe w swojej koncepcji wystawy kierowały się być może względami praktyczności — wyłowienie tzw. samorodnych talentów, ale zbagatelizowały społeczno-kulturowy sens wystawy, po który przychodzi tu oglądający.



Władysław Wilmański — 2 kl. gimn. prac. Rektyfikacji PMS w Sieradzu. — Fragment Riwieri włoskiej — olej.

Narzucające się oskarżenie o drobnomieszczaństwo kulturalne nie znajduje tu dokładnego adresu wskutek niedostatecznego określenia klasowego wystawy. W interesie kulturalnej roboty Związków Zawodowych nie leży wszak, jak nam się wydaje, zacieranie klasowych różnic na platformie jakiegoś kulturalnego, amatorskiego solidaryzmu. Z tym wszystkim radzi byśmy omawianą imprezę Związków Zawodowych uznać za dyskusyjną.



Stanisław Mazurek — 36 lat, prac. Fabry Skarbowej — referent. — Wiatrak — olej

Władysław Strzemiński

Amatorstwo plastyczne

Chcąc należycie zrozumieć znaczenie łódzkiej wystawy „amatorów” nie możemy jej oceniać tak, jak się ocenia każdą zwykłą wystawę. To znaczy, że nie możemy przejść po wystawie, obejrzeć obrazy, podzielić je na „przyjemne” i mniej „przyjemne”, pochwalić niektóre i odpowiednio zganić inne. Byłaby to ocena pozbawiona perspektyw historycznych. Oglądając same tylko obrazy, przeoczylibyśmy te nowe siły społeczne, jakie powołały je do życia, przeoczylibyśmy cały wielki proces historyczny, którego skutki dadzą o sobie znać dopiero w dalszej przyszłości.

Istotną treścią tego procesu jest opanowanie dziedzictwa kulturalnego — przez masy pracujące. Tym procesem jest wciągnięcie do twórczości artystycznej — jak najszerszego kręgu ludzi, dotychczas jej obcych, odciętych od niej przez ustrój społeczeństwa klasowego. Dopiero ruch artystyczny, powstały na znacznie szerszej bazie społecznej — zdolny jest tworzyć istotne wartości kulturalne o poziomie znacznie wyższym niż osiągnięcia obecne. Dlatego rzeczywistość miarą postępu artystycznego jest nie ten lub inny obraz tego lub innego z uznawanych obecnie artystów — lecz stopień opanowania dziedzictwa artystycznego przez klasę robotniczą. Dopiero na bazie opanowania całej dotychczasowej kultury artystycznej powstanie — jako jej dialektyczne zaprzeczenie — kultura nadchodzącego społeczeństwa socjalistycznego.

Jest to proces długi i skomplikowany, wiążący się z całokształtem przemian społecznych. Lecz na każdym odcinku drogi jego treść pozostaje niezmieniona — uaktywnienie jak największego kręgu wciągniętych w twórczość artystyczną, a poprzez nich — rzeczywiste upowszechnienie sztuki wśród najszerszych mas widzów. Nie obecny poziom amatorskich dzieł sztuki decyduje o powodzeniu tego ruchu, lecz jego zasięg i umasowienie. Poziom będzie prostym następstwem umasowienia.

W okresie przedwojennym Polska przegrywała na polu kapitalizmu. Dysproporcje rozwojowe powiększały się stale. Z kraju niedorozwiniętego kapitalizmu, stawała się Polska — krajem kapitalizmu półkolonialnego. W jednym z artykułów podałem cyfry stale malejącego udziału Polski w pro-

dukcji światowej. Dynamika wytwórcza uciekała z Polski i przenosiła się do kraju produkującego kapitalizmu. W parze z tym szedł malejący udział w aktywności artystycznej. Zniżał się zarówno poziom tworzonych dzieł sztuki, jak i zasięg ludzi, objętych zainteresowaniami artystycznymi. Jeśli na przełomie wieków XIX i XX walka pomiędzy szkołą Matejki a impresjonistami (Wyczółkowski, Stanisławski, Pankiewicz) odbyła się w drodze szerokiej dyskusji prasowej i wydawniczej i objęła szerokie kręgi inteligencji — to przemiany późniejsze odbywały się przy wciąż malejącej liczbie zainteresowanych.

Następstwem tego był niesłychanie niski poziom artystów wyrosłych w atmosferze owych lat.

Dlatego, przy należytej opiece i organizacji, nie powinno nas dziwić, jeśli amatorzy-robotnicy osiągną poziom równający ich twórczość z twórczością zawodowych artystów, wykończonych przez akademie sanacyjne. W istocie swej artyści ci są ofiarami jednej z najsmutniejszych epok historii Polski i osiągnięcie ich poziomu nie jest tak trudne.

Amator-artysta, żyjący w społeczeństwie kapitalistycznym, bywał zazwyczaj pozostawiony swoim własnym siłom. Obecnie państwo ludowe przychodzi mu z pomocą. Zadaniem ognisk kultury klasycznej jest wykształcenie amatora-plastyka na kulturalnego znawcę sztuki. Wznosząc jego poziom — oddziaływać ognisko na to otoczenie, z jakim się styka dany amator. Poprzez amatora oddziaływać się na jego środowisko.

Dlatego zadaniem Związków Zawodowych byłoby włączanie amatorów z ogniskiem — umasowienie liczby osób korzystających z ogniska. Wyławianie ukrytych talentów, kształcenie amatorów, rozbudowa ogniska i założenie jego oddziałów przy poszczególnych związkach zawodowych i świetlicach fabrycznych — byłoby pierwszym krokiem.

Wśród wystawiających amatorów około 50 proc. stanowią pracownicy umysłowi. Na robotników fizycznych wypadłoby zatem około 50 proc., co jest liczbą niewspółmiernie małą. Powiększenie tej liczby wymagałoby przeprowadzenia odpowiedniej kampanii informacyjno-propagandowej.

Marian Niewiarowski

U R O B O T N I K Ó W

(Notatki reportażysty)



Górnik

Foto A. Bogusz

Powiedzcie więc, czy mogę podzielić entuzjazm autora, który zachwycił się ilością dzieci robotniczych, wysłanych z wszystkich tych zakładów pracy na kolonie, jeżeli w roku 1948 byłem na jednej z kopalni Głiwickiego Zjednoczenia i stwierdziłem naocznie, jak wili się i kręcił przewodniczący rady zakładowej pod oskarżeniami żon górników: oskarżały go o to, że nie zabezpieczył więcej miejsc z tej kopalni dla dzieci, które miały wyjechać na kolonie letnie!

A wiecie ile — mimo to — wyjechało dzieci z tej jednej tylko kopalni w 1948 r.?

Tysiąc trzysta.

A oto parę dni temu, jakby na potwierdzenie wymowy tych cyfr, czytam w jednym z pism warszawskich:

„Ponad milion dzieci na wczasach”.

W roku 1946, gdy akcja wczasów nie była jeszcze należycie zorganizowana, przebywało na wczasach 750.000 dzieci, tj. 3,13 proc. ludności. Cyfry te stale rosną: rok 1947 — 784.207 dzieci, rok 1948 — 932.270 dzieci.

Oto, jaką wymowę mają cyfry!...

W pewnej chwili, gdy dotarłem do strony, dotyczącej indywidualnych wyjazdów robotników, zatrudnionych przez „Wspólnotę Interesów” na urlop, porównanie ze stanem obecnym wydało mi się tak kompromitujące dla przedwojennych stosunków, że zaniechałem po prostu dalszego czytania. Młody student Akademii Górniczej, który razem z mną przeglądał to luksusowe wydawnictwo, nie mógł opanować zdumienia.

Co tak wprowało w zdumienie przyszłego inżyniera?

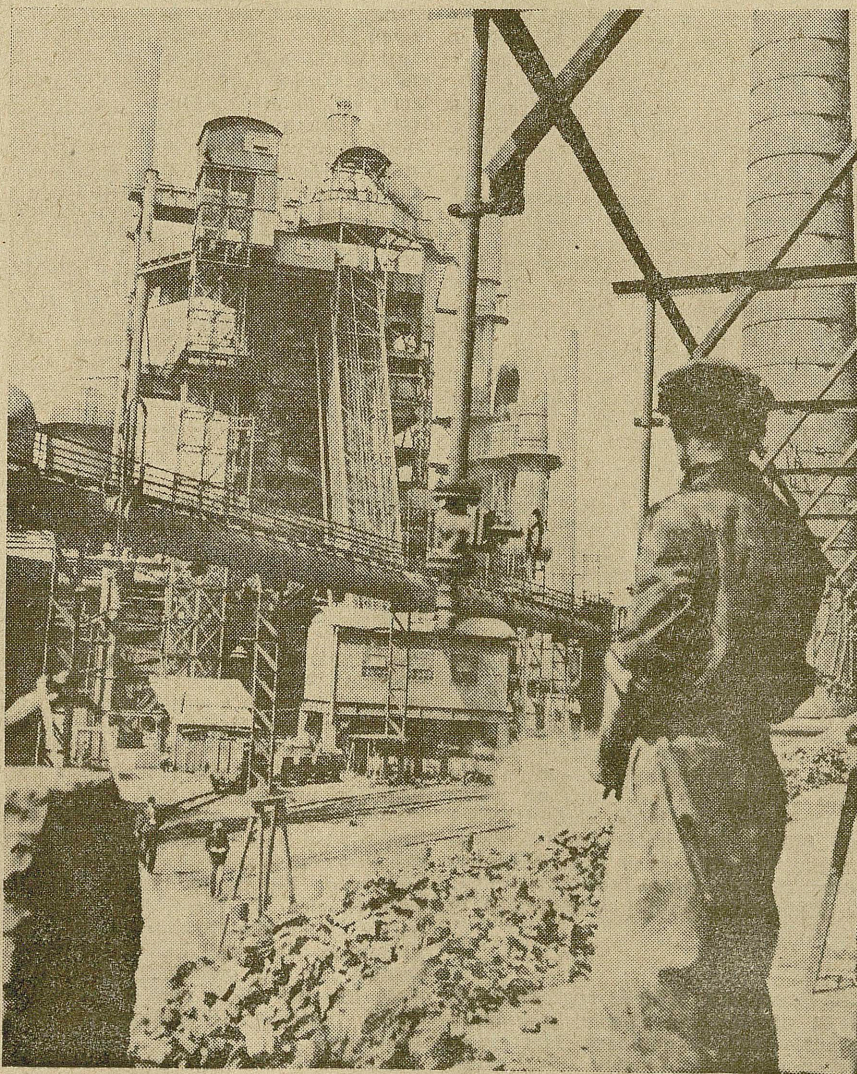
Przede wszystkim fakt, że o tym nic nie wiedział, po drugie, że cyfry te tak bezwzględnie publikowano. Ale mój młody sąsiad miał w r. 1938 12 lat i przed wojną — oczywiście — nie spotkał się ze statystyką urlopów robotniczych. Natomiast po wojnie przywykł — jeśli chodzi o wczasy — do liczb idących w setki tysięcy. A tu, na str. 16, dowiaduje się, że w r. 1938 indywidualnie na urlop wyjechało poza miejsce swego zamieszkania dosłownie:

z huty Batory	— 1 osoba
z huty Florian	— 4 „
z huty Silesia	— 3 „
z huty Zgoda	— 5 „
z huty Pokój	— 3 „
z kopalni Katowice	— 3 „
z kopalni Zagłęwniki	— 3 „
z kopalni Siemianowice	— 3 „

razem wyjechało — 25 osób

Z pozostałych kopalni i hut ani jeden robotnik nie spędził urlopu poza miejscem swego zamieszkania.

Natomiast z jednej tylko kopalni Katowice w roku 1948 wyjechało na urlop 380 robotników... Oto wymowa cyfr naszej i ich wspólnoty interesów.



Huta Pokój (Nowy Bytów)

Robotnik, który wstaje i powiada: — U nas na oddziale stale brak drzewa... — dopiero rozpoczął krytykę. Widać, że chce dalej mówić, że będzie mówić więcej. Ale dyrektor kopalni, który prowadzi naradę, natychmiast podrywa się od stołu i przerywa:

— Jakto? Co wy wygadujecie! To niemożliwe, żeby u nas brakowało drzewa!

I, zwracając się do siedzącego opodal inżyniera — proszę wyjaśnić!

Inżynier wstaje i zaczyna wyjaśniać. Robotnik usiadł i po jego minie widać, że już nic więcej nie powie. Inżynier wyjaśnia cierpliwie, mówi szybko, składowo... Zwała winę na Centralę Dostaw Drzewnych, mówi o zamówieniach, specyfikacjach, terminach dostawy, transporcie, trudnościach obiektywnych itp. Że jest okres przejściowy, który minie i że w krótkim czasie drzewa będziemy mieli dostać. Robotnik jest wyraźnie zniecierpliwiony, widzę, że chciałby coś jeszcze dodać... Ale nie może.

Inżynier skończył, dyrektor dziękuje, sprawa załatwiona, dyskusja zakończona. Przechodzimy do punktu następnego...

Wtedy zabiera głos delegat Związku Zawodowego z Katowic:

— No, dobrze — mówi — ale co na to wasz „materiałowicz”, wasz kierownik zaopatrzenia? To przecież on powinien dbać o to?

Dyrektor nie pojmuje interwencji delegata Związku. O co chodzi? Czy wyjaśnienie inżyniera nie wystarczyło? Po co jeszcze tę sprawę wałkować? Przyjdzie drzewo — oddział dostanie i sprawa załatwiona.

Ale sprawa nie jest załatwiona. Kierownik zaopatrzenia wyjaśnia, cedząc po woli słowa. Owszem, drzewo, o którym wspominał „ten górnik”, jest, ale nie można nadać z przełożeniem na dół, do szybu. Zdolność przepustowa klatki wyciągowej jest za mała...

Lekka konsternacja. Dyrektor, chcąc załagodzić wrażenie sprzeczności pomiędzy relacją kierownika zaopatrzenia a wyjaśnieniami inżyniera materiałowego — wstaje i kieruje wzrok na salę:

— Jak widzimy — mówi donośnie, głosem, który nie znosi sprzeciwu — sprawa drzewa została wyjaśniona. Należy zbadać zdolność przepustową klatki i zastanowić się nad jej zwiększeniem. — Panie kolego — zwraca się do siedzącego przy stole kierownika ruchu — proszę zanotować. Omówimy to na następnym zebraniu dyrekcyj.

I znowu do audytorium:

— Sprawę uważam za wyczerpaną. Przechodzimy do punktu następnego, do...

Ale sprawa nie jest wyczerpaną. Wstaje drugi robotnik, powiada:

— Panie dyrektorze, na poprzednim zebraniu mówiło się też o drzewie i też postanowiono, że się będzie o tym mówiło na następnym zebraniu. Dzisiaj się znowu o tym mówi i znowu się powiada, że odłoży się do następnego zebrania. Trzeba to jakoś raz załatwić, a nie odkładać. A co do klatki, to można by było przewozić nie tylko w nocy, ale i w dzień.

Dyrektor znowu podrywa się: górnik S. 2 oddziału czwartego wnosi o szybsze rozpatrzenie sprawy braku drzewa. Sprawę uważam za dostatecznie wyczerpaną. Przechodzimy do punktu następnego, do sprawy transportu. Kto chce zabrać głos?

Na sali cisza. Tylko delegat Związku Zawodowego notuje... I ja notuję: Są jeszcze u nas i tacy kierownicy przedsiębiorstw, choć olbrzymia większość docenia już wartość opinii robotnika o pracy.

Prawdziwa narada zaczęła się dopiero po wyjściu dyrektora i zawiadawcy kopalni, którzy — po wyczerpaniu porządku dziennego — w błogim poczuciu dobrze spełnionego obowiązku odjechali do domu.

Robotnicy zgromadzili się wokół delegata Związku, sekretarza koła partyjnego i czołowych przewodników pracy.

Mówili o tym, że dyrektor nie daje dojść do głosu, że nie pozwala niczego krytykować, że traktuje naradę wytwórczą jako zło konieczne, które trzeba „odwalić”, że nie umie i nie chce wysłuchiwać tego, o czym mówią robotnicy, że nie liczy się z nimi. I że na innych — na wszystkich prawie — kopalniach na naradzie wytwórczej zabiera głos każdy, kto chce i że nikt tam nie ma obawy, że za to, co powie o administracji czy pracy nadzoru, będzie potem szykanowany...

I że między innymi powinno się na naradach wytwórczych omawiać doświadczenia przewodników pracy na kopalni. Powinni oni dzielić się swoimi metodami lepszej pracy ze wszystkimi innymi górnikami, wyjaśniać jak można pracować inaczej, lepiej, wydajniej...

Coraz rzadziej zdarza mi się ostatnio przebywać na podobnych naradach wytwórczych, więcej — bardzo rzadko, ale byłoby ślepotą twierdzić, że odgórny stosunek, który pewna część naszej administracji gospodarczej ma do robotników, został już wszędzie zlikwidowany. W rozmowach, które prowadzę stale z kierownictwem i wyższym nadzorem kopalnianym, spotykam się z głęboko zakorzenionym poglądem, jakoby robotnik, czy nawet dozór niższy czy średni, nie mógł nic wniesić nowego do organizacji pracy na kopalni. To też nie ma chyba bardziej typowego zjawiska na kopalni, jak niespodzianka, którą sprawia wyższemu dozorowi i kierownictwu przewodnik, zmieniający sam dotychczasowy sposób pracy, jej przestarzałą, uświęconą przepisami organizację.

Bardzo poważną rolę w przełamaniu dotychczasowego sposobu myślenia, w likwidacji „przeżytków”, odziedziczonych po kapitalizmie, odegrały koła partyjne i związki zawodowe. Iu burzliwych zebraniach, iu namiętnych, a często dramatycznych narad byłym świadkiem!

Dozór był zaskoczony tą inicjatywą robotników, nie znał jej przed wojną, nie rozumiał znaczenia, uważał każde wystąpienie robotnika za osobistą napaść! Zmieniły się bowiem role w kopalni: o ile przed wojną dozór nagaśniał robotników do pracy (zresztą należało to do jego obowiązków), tak teraz robotnicy dyktują tempo pracy dozorowi, który musi nadążyć z dostawą drzewa, z zabezpieczeniem na czas materiałów, z uruchomieniem na czas transportu, z dostawą wózków itp. W zwiększonej wydajności robotnicy ujrzeli nagle możliwość zwiększonego zarobku. Niedostarczony wózek — to przecież strata dla nich!

Sztęgarnom trudno było się przyzwyczaić. Widziałem takiego sztęgarnę na jednej kopalni. Mówili mi robotnicy, jak i co robił przed wojną: kręcił się po chodnikach, krzyczał, lajał, groził, wyzywał... Teraz zajęty jest tylko dwiema rzeczami: musi dostarczyć wózki na czas, bo węgiel leży niewywieziony, dostarczyć drzewa, bo górnicy czekają z obudową i nie mogą robić.

Górnika, zajętego na dole przy pracy — widzi przed sobą nie tylko swoją ścianę i swój miot. Z jego pracą łączą się czynności wielu innych robotników, pracowników pomocniczych, techników, nadzorujących. W chwili przerwy czy awarii potrafi on najlepiej dostrzec, kto był bezpośrednim winowajcą, dlaczego nie ma wózków i dlaczego nie ma drzewa. Gdy narzędzie pracy nie jest dobrze wykorzystywane — wie, dlaczego tak się dzieje i jak temu zaradzić. I jeszcze jedno: na dole najłatwiej się zorientować, gdzie tkwi przyczyna złej jakości produktów, skąd się bierze węgla za dużo miału, dlaczego dostaje się kamień do urobku, wywiezionego na wierzch?

O tym wszystkim mówi górnik i opowiada na naradzie wytwórczej, wskazuje na winowajców, żąda wyjaśnień, naprawy, dyskutuje nad sposobami lepszej organizacji pracy, wysuwa projekty, omawia je, sam też podlega — jeśli zachodzi potrzeba — krytyce ze strony współtowarzyszy pracy.

I tak na naradach wytwórczych prowadzonych najczęściej na dole po dniówce, polami i zmianami, na ogólnych naradach wytwórczych z udziałem załogi kopalni, na ścisłych naradach technicznych, które decydują o przebudowie produkcji na kopalni, w walce o większe wydobywanie — polski górnik uczy się nowego, socjalistycznego stosunku do pracy.

Siedzą sobie wszyscy razem na tarasie jednego z domów wypoczynkowych, który niedawno jeszcze należał do Związku Górników, obecnie — po nowej ustawie o wczasach — pełny jest robotników i urzędników ze wszystkich przemysłów kraju...

Zresztą krajobraz się nie zmienił. Zmienił się tylko ludzie, którzy go podziwiają.

Czytelnik niech nie oczekuje żadnego dramatycznego wydarzenia. Przykro mi, że go rozczaruję. Nic się nie zdarzyło. Jest piękny wieczór niedzielny i wczasowicze po wczorajszej zabawie są nieco niemrawi. Sąsiad mój, jeden z przodujących hutników śląskich, odzywa się w pewnej chwili do mnie:

— Czy wie pan, ile przed wojną zarabiał nasz dyrektor huty?

Zaczynam zgadywać. Przypominam sobie gdzieś przeczytane cyfry, ale hutnik uśmiecha się, gdy je cytuję. W moim przekonaniu są one tak wysokie, że jestem po chwili naprawdę zaintrygowany.

— Gdy Niemcy zbliżali się do naszej osady — ciągnie dalej hutnik — dyrektora już nie było. Uciekli z nim razem jego kochanka, kasjer, buchalter i niektórzy urzędnicy. Niemcy jeszcze nie weszli do miasta i wtedy — wie pan — ze znanym urzędnikiem, który szukał jakichś papierów pośrodku do pokoju dyrektora. Weszliśmy do wspaniałego gabinetu — nie będę panu opisywał, jak on wyglądał, szkoda słów i nie warto wspominać. Na podłodze wały się jakieś papiery, wyciągi, listy, kwity, odpisy rachunków, blankiety itp. Biurko było otwarte, ale papiery wewnątrz były porozrzucane w nieładzie. Kasa ogniotrwała zamknięta. I oto — pamiętam jak dziś — urzędnik podniósł jakiś papier, czytał go dłużej, a potem pokazał.

Po krótkiej przerwie hutnik ciągnął dalej:

— Tak, wtedy dowiedziałem się, ile naprawdę pobierał miesięcznie nasz dyrektor. Miał on pensję oficjalną i półoficjalną, prócz dywidend i tantiem. Dawało mu to miesięcznie 120.000 zł przedwojennych.

Huta o której mówiłem, należała do wielkiego koncernu kapitalistycznego pod firmą „Wspólnota Interesów” S.A.

Leży przede mną smutna fotografia. Chłopak w berecie, w jasnej koszulce, bosi, siedzi i gra na harmonijce. Ze zdjęcia źle odbitego i niewyraźnego, spogląda para smutnych oczu.

To nie są oczy dziecka. Są to oczy przedwczesnie dojrzałego, steranego i zmęczonego życiem człowieka. Tekst obok zdjęcia jest entuzjastyczny. Ale gdy czytam go po raz drugi — wybaczam autorowi entuzjazm.

Dla niego i dla tamtych czasów — to, o czym pisałem, było rzeczywiste rzecz niesłychaną, wymagającą entuzjazmu...

„Przystępując — pisze ówczesny entuzjasta — do organizowania wysiłki dzieci robotniczych na kolonie letnie w roku bieżącym (1938) postawiliśmy sobie za zadanie rozbudowę całej akcji w głąb i wszcząć”.

Rozbudowa w głąb i wszcząć ma polegać na tym, że w roku 1938 planuje się rzecz niebywałą, niesłychaną: oto na kolonie letnie ma wyjechać aż... 1000 dzieci!...

Do „Wspólnoty Interesów”, potężnego, kapitalistycznego koncernu, należały na Śląsku największe huty. Prócz hut do koncernu należało 6 największych kopalni węgla i jedna kopalnia rudy. Prócz tego — warsztaty przetwórcze, liczne firmy filialne, jak „Fitznerowska Fabryka Śrub i Nitów”, wiele majątków ziemskich i lasów oraz różne biura, jak: sprzedaży, eksportu, pośrednictwa itp.

Józef Choczynski

NA DROGACH TEATRU II*)

W latach 80-tych XIX w. teatr na wsi galicyjskiej nie był już zjawiskiem odosobnionym. W okresie kołowym księża i organisci urządzali przedstawienia jasełkowe. Cieszyły się one wielkim powodzeniem. „Chata” w numerze z 24 lipca 1886 donosiła, że chór włościan z Bierzanowa popisywał się w ogrodzie krakowskim wobec 200 słuchaczy, którzy zdumiewali się nad wykonaniem pieśni przez włościan. Ze scen miejskich trafiły też na wieś sztuki Anczyca. W „Przyjacielu Ludu” z r. 1896 jest wzmianka, że w powiecie tarnowskim, we wsi Janowicach włościanie z Janowic i Wróblowic odegrali sztukę Anczyca „**Kościuszkę pod Racławicami**”. Kto był w teatrze na wystawieniu tej sztuki, potrafi ocenić, jaki nakład pracy trzeba włożyć w ten dramat, aby go wystawić na scenie, zwłaszcza wiejskiej.

Jedyna to, dotąd najświetniejsza rzecz teatralna, która w dużej mierze przyczyniła się do rozbudzenia uczuć patriotycznych wśród rzeszy wiejskiej i miejskiego ludu robotniczego. Gdy po raz pierwszy w r. 1880 ten obraz historyczno-ludowy, „**Kościuszkę pod Racławicami**”, wystawiono w Krakowie, plac i łkanie rozległy się na sali teatralnej. Na przedstawienia tej sztuki zjeżdżała publiczność z dalekich stron, a nawet przekradła się przez granicę z Królestwa. W liście do Teofila Lenartowicza opisuje Anczyca wrażenie, jakie sztuka ta wywierała na chłopach: „Pewnego razu kilkudziesięciu chłopów z okolicy zwieziono i parter rumienił się chłopskimi czapkami „jakby nasiął maku” — to trudno opisać wrażenie, jakie na nich wywarła sztuka. Całość ich nie ogarnęła, ale Kościuszkę i Bartosza — za każdym wejściem walili im brawo i w głos uwagi robili. Jakiś zaś gospodarz o trzy mile przyjechał z żoną, a gdy mu powiedziano, że już bileto nie ma, zawołał: „O panie, mnie tu nie idzie o pieniądze — ja dam i po papierku **), ale musiałam zobaczyć Bartosza, bo już o nim takie cuda opowiadają we wsi, że nie ruszę stąd, aż mnie puszcicie”. Wszystko to działo się w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Takim powodzeniem cieszył się utwór sceniczny Anczyca, którego rodzice byli aktorami warszawskiego teatru „Rozmaitości”, a dziad, von Anschutz, oficerem wojsk saskich, on zaś sam uczestnikiem powstania krakowskiego w r. 1846 i owej tragicznej procesji podgórskiej, zorganizowanej przez Edwarda Dembowskiego, który w niej padł. Najczęściej ze sztuk Anczyca grano na scenach wiejskich: „**Flisaków**”, „**Lobzowian**”, „**Chłopów arystokratów**” i „**Błażka opętanego**”. Nie można powiedzieć, by sztuki te zachwyciły chłopów, zwłaszcza poważniejszych. „**Mazurowanie**” i przesadne sztywności z chłopów podobało się różnym wiejskim „elegantom”, czy miejskim kucharkom, które wyszedłszy ze wsi, „cywilizowały się” pośpiesznie i swą wyższość manifestowały w wyszydzeniu swoich najbliższych ze wsi. Gdy jeszcze na scenie pojawiały się sztuki o **tendencji reakcyjno-politycznej**, użyte przez wielkoziemiańskich polityków do ośmieszania i zwalczania ruchu ludowego i socjalistycznego, same teatry zapracowały na to, aby stać się przedmiotem ataku ze strony politycznie uświadomionej rzeszy chłopskiej i robotniczej.

W wyborach do sejmiku przeprowadzonych w r. 1897 11 polskich posłów włościańskich uzyskało mandat poselski. Pięciu z nich kandydowało na program „**katolicko-ludowy**” z p. Kramarczykiem na czele, sześciu zaś zdobyło mandat pod sztandarem świeżo założonego stronnictwa ludowego. Nie sprawa teatrów leżała na sercu tym nowoobranym przedstawicielom chłopskim. Po ciężkiej walce wyborczej przyszli do sejmiku ze wsi, które tońeły w mrokach analfabetyzmu. Tysiące gmin nie miały szkół, tysiące szkół mieściło się w budynkach nieodpowiadających temu przeznaczeniu, nauczycielstwo żyło w nędzy. Na tym tle troska o teatry, tę gorszyielską „pańską zabawkę”, służącą rozrywce nielicznej grupie inteligencji, czy też „obywatelstwu” w pobliżu Krakowa i Lwowa mieszkającemu, wydawała się posłom włościańskim czymś tak niezwykłym, niestosownym, wprost potwornym, że już w pierwszej dyskusji budżetowej wadliwie posł Styła***) w mocnych słowach podniósł głos protestu: „Jest krzywdą o pomstę do Boga wołającą, aby lud krwawo groził na takie — można powiedzieć — wybrki płaci. Otóż ja stawiam wniosek, ażeby ta kwota na subwencję dla teatrów była wycofana. **Kto korzysta z teatru, niechaj płaci**, a kto nie, płacić nie powinien”.

Posł Średniawski****) nie zaprzecza, że teatr wywiera cywilizacyjny wpływ na ludność, ale sądzi, że służy więcej przyjemności niż cywilizacji, dlatego, gdy

*) Patrz cz. I: „Teatr w Galicji”, „**Wies**” nr 11.

) „Papierek**” — popularna nazwa austriackiego złotego reńskiego.

***) Antoni Styła, włościanin, był posłem powiatu wadowickiego w latach 1895—1901 i 1908—1913.

****) Andrzej Średniawski, włościanin z powiatu myślenickiego był posłem do sejmiku w latach 1895—1901 i do rady państwa w latach 1907—1918. W Polsce był posłem i senatorem.

odmawiamy sobie rzeczy potrzebnych, aby nie zwichnąć równowagi budżetowej, to więcej powinniśmy uważać na oszczędność przy teatrze. Teatr wspierać powinni ludzie zamożni, drogą dobrowolnych składek, jak się to w Czechach praktykuje, gdyż pieniądze, którymi sejm dysponuje, są nieraz ściągane od ludzi, którzy na sól nie mają.

W r. 1897 w wyborach do parlamentu wybrany został posłem ziemi krakowskiej Ignacy Daszyński. Tak sam wybór, jak i liczba głosów (22.000), oddanych na Daszyńskiego, przerażyły reakcję krakowską. Szukano środków na odrutkę i znaleziono je w teatrze. Znalazł się też w Krakowie prokurator Smolarz-Kalitoski, który napisał sztukę pt. „**Kusiele ludu**”. C. k. radca dworu i starosta krakowski, Laskowski, patronował wystawieniu tej sztuki w teatrze w parku krakowskim. Na premiere zaprosił biurokrację z krakowskich urzędów, która miała nieładnie sensację, gdyż w tytułowej roli „**Kusiciela ludu**” wystąpił aktor w masce znanego widzom Daszyńskiego. Pierwsze przedstawienie minęło spokojnie. Na drugie przedstawienie publiczność stawiała się jeszcze liczniej. Na galerii znalazło się około 200 robotników, a między nimi był także Daszyński. Wspomina on w swych „**Pamiętnikach**”, jak aktor uosabiający Daszyńskiego w pierwszym akcie grał rolę łotra, namawiającego chłopów do złodziejstwa i podpalania. W akcie drugim, gdy łotr ten wyprawiał chłopów na kradzież i podpalenie celem zasilenia kasy partyjnej, na sali powstał ryk gniewu i oburzenia. Demonstracja podzielała na publiczność, która chyłkiem uciekała z teatru. Przedstawienie zostało zerwane. Hofrat Laskowski chciał sztukę powtórzyć, lecz zmuszony był zaniechać tego, gdy taktywny komendant korpusu, Albori, odmówił teatrowi orkiestry wojskowej. Od tego czasu sztuki tej nie odważono się wprowadzać w Krakowie na scenę, za to popisywano się nią jeszcze tu i ówdzie w miasteczku. Prokurator Smolarz-Kalitoski awansował, koledy zaś jego pownosili akty oskarżenia przeciw demonstrującym robotnikom, którzy oberwali po parę miesięcy więzienia. Daszyński, jako poseł nieetykalny, na razie pozostawiony został w spokoju, lecz w r. 1900, po rozwiązaniu rady państwa, również i jego sąsiedzi na 4 tygodnie aresztu, który solidnie „u św. Michała” odsiedział.

Gdy sztuka „**Kusiele ludu**” prowokowała socjalistyczny ruch, to na chłopskich ruch polityczny uderzono z teatru krakowskiego sztuka „**Chłopska polityka**”. Kto i w jakim celu paszkwil ten wprowadził na scenę, opowiedział w sejmie poseł ziemi krakowskiej Wójcik*) w dniu 28 marca 1899 r., w rozprawie nad sprawą subwencji dla teatrów.

„Wysoki Sejmie! Pierwszy raz zabieram głos w rozprawie budżetowej przy rubryce o teatrach. Wychodzę z tego założenia, że teatr powinien mieć za zadanie kształcić do piękne i szlachetne, że jednak tak nie jest, będąc stałym wykładem. Obecnie już do tego doszło, że dla zabicia ruchu ludowego, dla utrzymania stanu posiadania, używa się wszelkich środków, nie pytając czy są one uczciwe czy nie, poczasz od ludzi, którzy mają pretensję do inteligencji, skończysz na indywiduach wstrętnych, które w danym razie wzywa się do pomocy. Na domiar złego, gdy już opanowało się wszystko, aby zgnieść ruch ludowy, ten ruch, który daży legalnymi środkami do swych praw, użyto jeszcze do tego w ostatnich czasach rzeczy teatralnej. Przed kilku tygodniami na **scenie teatru krakowskiego subwencjonowanego przez sejm**, wystawiono sztukę nieznanego autora po prostu **nieczcna, sztuka pt. „Chłopska polityka**”. Pokazał w niej autor, że nie ma najmniejszego wyobrażenia i znajomości ludu, jego życia i potrzeb. Przedstawił chłopą jako karykaturę, śmiał przedstawić tego chłopą z sztywnością i wystawił na pośmie niedźwie ludu wiejskiego i jego dobiąganie do praw i wydobycia się spod nieproszonej opieki, jako zbydelegnego, zdradliwego, czuającego na cudze mienie i cnotę. Nieznany autor „**Chłopskiej polityki**” przedstawił włościanina jako sojusznika Żyda i karczmę, wójt zaś tak zwany „**starościn**” wspólnie z żandarmem to są ludzie porządną i moralną (P. Bojko: „**Medal mu dają**”). Ci, co chodzą do teatru, gdy widzą, że biednego polskiego chłopą szarpie się publicznie, odsadza go od czci i wiary, jeżeli ci nie zaprotestowali z oburzeniem na takie poniewieranie ludu i równanie go niejako ze zbójcą, to oni nie mają, nie mówię miłości, ale najmniejszej sympatii dla ludu (**brawa z ław ludowych**). Jeżeli nikt nie oburzył się na taką sztukę, która porównuje chłopą prawie do dzikiego zwierza, co się rzuca na wszystko, to powiedział, że **takie społeczeństwo próchnieje** (głosy: tak jest! bardzo słusznie) a przynajmniej każdy, że na **próchnie** tylko grzyby rosną. (Głosy: **tak będzie!**). Beziemien-ny autor „**Chłopskiej polityki**” wychodził w

niej z najbardziej lichych motywów i pobudek. Nie znając ludu z życia, czerpał o nim wiadomości tylko z owych obrzydliwych ujęć dziennikarstwa konserwatywnego, które w każdej opozycji ludowej widzi pychę, zbrodnię, bunt i głupotę chłopą. Ten punkt wyjścia nadaje sztuce cechę nienawiści partyjnej, tym głębszej, że ma ona być zwróconą przeciw bezbronnej warstwie a popartą pieniędzmi podatkowymi i całym aparatem oficjalnej przychylnej i łaskawej krytyki dziennikarskiej. (P. Bernadzikowski: „**niestety!**”), która zwraca się przeciw nam. O ile jednak owemu nieznanemu autorowi, jako człowiekowi prywatnemu, wolno być głupim, o tyle wydział krajowy nagradzając podobną sztukę i polecając ją do grania na subwencjonowanych scenach narodowych, zasługuje na nagane, a każdy poseł bez względu na to, do jakiego stronnictwa politycznego należy, przysiąc to powinien (**brawa z ław ludowych**). Jest to bowiem bezczestzeniem sceny narodowej, sztuką nagrodzoną na konkursie przez wydział krajowy z krwawicy podatkowej (Głosy: „**hańba!**”), wprowadzoną na scenę pod osłoną policji (P. Bojko: „**Inaczej nie można było!**). Złe się dzieje, jeżeli się nadużywa subwencji do celów politycznych pewnego stronnictwa, które nadużywa swej siły. Kilka dni temu p. hr. Dzieduszycki i inni panowie w ogólnej rozprawie budżetowej powiedzieli, że oszczędzać musimy i dali w tym kierunku wskazówki wydziałowi krajowemu, jednak nie jest oszczędnością nagradzanie sztuki o tak lichych motywach, jaką jest „**Chłopska polityka**”. Nagrodzono na tym konkursie jakiegoś bezimiennego małodusznego i lichego pisarza (P. Bernadzikowski: „**Smolarza**”) za pieniądze podatkowe, a więc za nasz grosz chłopski, za to, że tenże sponiewierał i zaplwał lud polski. Jeżeli się nagradza sztukę, to trzeba być sprawiedliwym a nie stronnictwem, należałoby zatem nagradzać i wystawiać w przeciwstawieniu „**Pańską politykę**” (**brawa**) i w tej „**Pańskiej polityce**” przedstawić, jak panowie rozjeżdżają się brykami podczas wyborów (**brawa z ław ludowych**) i rozpajają biedny naród i wytkają 10 reńskich, które wyborcy przy wyborach kładą na stół komisji. (P. Okuniewski: „**Tak bywało, tylko starosta nie chce tego widzieć!**”). Wartoby w jednym akcie przedstawić, jak się grozi dłużnikom kas zaliczkowych i innych, że jak nie będą glosować na tego i tego kandydata, to muszą zaraz pożyczki zwrócić. Wartoby przedstawić chłopów, ale starościnów, którzy chorują na panów, wartoby przedstawić takich wyborców, którzy na wybory czekają jak na zbawienie, aby się najęść, napić i do kieszeni schować. Wartoby przedstawić liczne szynki, a w nich agitatorów czyhających na wyborców jak pająk na muchy. Należałoby w innym akcie przedstawić, jak to komisarze przeprowadzają wybory pod bagietkami i jak funkcjonują komisje wyborcze. Wartoby publiczności pokazać, jak się wtrąca wyborców do więzienia. Taka sztuka pod tytułem „**Pańska polityka**” miała wiele aktów, naturalnie bez dramatów by się nie obszło, a jako zakończenie wiezieniu i prześladowaniu przez całe lata. Sztuka spełniała zadanie, gdyż obie strony czerpałyby z niej obrok duchowy. Ale gdy się ły i beczceci tylko polityków bezradnych, przeciw którym wszystko się sprysnęło, to jest to nieszlachetnie. Sztuka jest chybiona, polityka blasku jej nie dodała, a do tego prowokuje. Mimo, że w całości nie można potępiać teatru i ja z tego ciasnego stanowiska nie wychodzę, ale dlatego, że nagrodzono tak niedną sztukę i wystawiono na scenie krakowskiej, przeciw pozycji, która wymaga 8000 reńskich na teatr krakowski glosować będą. Ktoś by powiedział: „no! włościanie od czasu do czasu korzystają z teatru”. Najpewniej mogę twierdzić, że na milion włościan nie więcej jak jeden korzysta z teatru. Wieksta liczba ludu miała by sposobność bywać w teatrze podczas różnych uroczystości narodowych. Gdy jednak u nas w kraju, a szczególnie w Krakowie, jest tak zwana „**straż pożarna**”, co **gasi ducha narodowego**, przyjdzie do tego, że i te obchody narodowe odbywać się będą rzadziej a przez to i włościanin nie będzie miał sposobności podczas tych obchodów bywać w teatrze”.

Kilka godzin przed mową posła Wójcika sejm odrzucił wniosek Styły o wyasnowanie znaczniejszej sumy pieniężnej na budownictwo wiejskich szkół. Sprawozdawca komisijny orzekł, że **brak na ten cel fundusów**.

Przebiegające w r. 1901 ponowne wybory zmieniły gruntownie skład reprezentacji ludowej w sejmie. Z 11 posłów włościańskich przetrwało się przez sito wyborcze zaledwie siedmiu. Posł Kramarczyk dzięki walce z teatrami ponownie został wybranym. Bojko utracony w rodzinnym powiecie dąbrowskim uzyskał mandat poselski od mieszczaństwa lwowskiego. Za to weszło do sejmiku kilku inteligentów, pracujących politycznie na wsi pod różnymi firmami. A więc uzyskał mandat ks. Stojalowski i jego polecnik, inż. Skolyszewski. Również Stapiński stanął na czele czteroosobowego klubu ludowego. Dwaj księża, Wilekiewicz i Wesolowski reprezentowali partię „**katolicko-narodową**”, ks. Szponder, suspendowany przez kardynała Puzyne, prowadzony był w ewidencji „**dzikich**”. Pod ostrza krytyki tych posłów dostali się na dwóch posiedzeniach sejmowych, 31 grudnia

*) Posł dr Bernadzikowski uławnił autora: był nim ten sam prokurator Smolarz-Kalitoski, który popisał się „**Kusicielami ludu**”.

1903 r i 10 listopada 1904 r., dyrektorzy teatrów: krakowskiego Kotarbiński i lwowskiego Pawlikowski. Nastreczyli sami ku temu sposobność, wystąpili bowiem z petycjami o przyznanie im większych subwencji. Komisja budżetowa załatwiła petycję pozytywnie, a nad to jeszcze „w uznaniu usiłowań i niepopolitych zasług” zaprojektowała przyznanie specjalnych datków Kotarbińskiemu w kwocie 4000 koron a Pawlikowskiemu 8000 koron. To dało powód do dużej dyskusji, w której wypowiedzieli się reprezentanci wszystkich stronnictw ludowych.

Posł Stapiński oburzał się, że sejm kraju, którego nędza jest sławna, który nie może podołać najprymitywniejszym zobowiązaniom kulturalnym, równocześnie na **rzeczy zbytkowne, jak opera**, pozwala sobie łożyć znaczne sumy pieniężne. Byłoby właściwsze postarać się **konkurować z Europą nie operą, ale szkolnictwem**, mamy bowiem 50 proc. analfabetów i tysiąc gmin bez szkół, ludność zaś żyje z pieniędzy zarobionych w innych krajach. **Lud rozumie doniosłość teatru i bez pomocy kraju inscenizuje sobie te teatry**. Ale kto uczęszcza na operę? Ceny są tak wysokie, że tylko znikom procent ludności z niej korzysta. Sprawozdania sejmowe zajmują się gloryfikacją osób, a przecież nie uchodzi, ażeby sejm miał być czołem przed Kotarbińskim i Pawlikowskim, zwłaszcza, że sprawozdania stoją w odwrotnym stosunku do rzeczywistości. Kto chce widzieć, jak wygląda teatr zwyrodniałych Francuzów, albo jak wolno bawić się szczęśliwym Niemcom, to mu wolno, ale naszym pierwszym obowiązkiem jest pielegnować taki teatr, któryby wśród społeczeństwa szerzył **pojęcie wiary, nadziei i siły**, a nie prowadził do moralnego upadku.

Na temat literatury scenicznej sporo cennych uwag wypowiadał poseł ks. Stojalowski. Przede wszystkim zajął się ustaleniem definicji teatru ludowego. **Takim teatrem we właściwym znaczeniu — jego zdaniem — nazywa się ten teatr, który już coraz częściej zawiązuje się po rozmaitych związkach i kółkach rolniczych**. Są to grona amatorskie z włościan i robotników, które sztuki patriotyczne chętnie grają. Ruch ten zasługiwałby na poparcie sejmiku, gdyż te zespoły amatorskie walczą z brakami, a osobliwie brak im kostiumów. Powinny być ustanawiane **nagrody konkursowe**, uwzględniające ludowe utwory. Na przykładzie nagrodzonej na konkursie sztuki pt. „**Jasiek sierota**” wykazał, jakich nie należy stwarzać typów scenicznych. W „**Jasiku sierocie**” chłop przedstawiony jest w taki sposób, że ten, co to pisał, chyba chłop nie widział: chłop anioł, bez żadnej namietności, odstepujący z hojnością grunt swój sąsiadowi, co się w życiu nie zdarza. Konieczny w sztuce węzeł dramatyczny — romans Jasika i Zośki przedstawiony po miejsku w sposobie mówienia i flirtowania. Autor włożył im w usta rzeczy, o których chłop nigdy nawet nie myśli. **Widocznie autorowie sztuk ludowych pisać nie umieją, a ci co je oceniają, oceniać nie powinni**. Przed wystawieniem tej sztuki trzeba było przemienić sceny, zrobić je naturalnymi, tak jak między ludem bywa. Bo i chłop się kocha, tylko uczciwiej, czasem się zagalopuje, ale romans nie odbywa się tak, jak w sferach inteligentkich. Sztuk ludowych brak, lecz ci, co je piszą, niech nie myślą, że dla ludu trzeba tak pisać, jakby książeczki dla dzieci, bo to dla dojrzałego i trochę oświeconego włościanina nie jest stosowne. Sztuki Anczyca nazywa ks. Stojalowski przestarzałymi, a osobliwie używanie języka gminnego, to „**mazurowanie**” wcale się chłopu nie podobą i do kultury nie prowadzi. Chłop uważa to za sztywność z niego. **On się nalamuje, aby nie „mazurował”, a tu mu dają na scenie rzecz, z którą on walczy**.

Takie projekty rozwinał ks. Stojalowski przed sejmem. Narodziny teatru ludowego we wsiach i miasteczkach galicyjskich miały takie początki, jak to nakreślił ks. Stojalowski. Budzieliśmy myśli narodowej przez twórczenie zespołów teatralnych wiejskich, była głównie młodzież, pochodząca ze wsi, a ucząca się w szkołach średnich, seminariach, gminnych. W miesiącach letnich wakacji łączyła ona wycopek z pożyteczną pracą oświatową. Potrzebę wspierania przez kraj improvised teatrów wiejskich przez ułatwienie im pozyskania potrzebnych kostiumów, przez dostarczenie odpowiednich sztuk scenicznych, przez udzielanie fachowych porad, jak urządzić sceny, dekoracje, jak wykonać charakterystykę, jak reżyserować, uznawali wszyscy, którzy spotykali się z tymi trudnościami przy urządzaniu przedstawień. We Lwowie powstał „**Związek teatrów i chórów włościańskich**” zrzeszający rozrzucone po kraju wiejskie amatorskie kółka teatralne. **Który podjął wydawnictwo cennego „Poradnika dla teatrów i chórów włościańskich**”. Donosiło o tej pracy nauczycielstwo, opiekując się zespołami i lokując je w szkołach. Coraz częściej pojawiały się na scenach wiejskich utwory treści patriotycznej jak „**Kościuszkę pod Racławicami**”, „**Dziesiąty pawilon**”, „**Tamten**”, „**Wóz Drzymal**”, „**Zmarłych wstanie**” (autor nauczyciel Lorenc), poprawiły się też Jasełka, gdy Rydel i Zegadłowicz wydali je w opracowaniu artystycznym. Dzięki konkursom i nagrodom zwiększyła się ilość sztuk scenicznych.

Na przełomie wieku XIX i XX rodził się w południowej Polsce wiejski teatr ludowy. Polityczne zwycięstwo Stronnictwa Ludowego w r. 1907 i 1908 dało temu teatrowi ochronę przed szyskanami władz, a nad to spowodowało **wydawnictwo subwencjonowanie „Związku teatrów i chórów włościańskich”**.

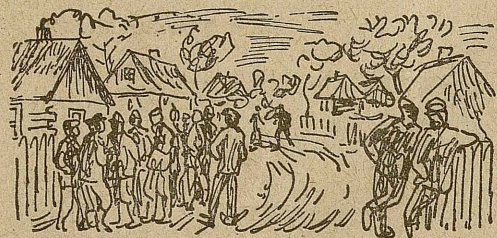
Edward Marzec

ilustr. S. Cieloch

W E Z E Ł

(Fragment powieści)

Niebo się ledwie jarzy, jakby płonący ogień dnia schodził w popiół coraz ciemniejszy. Domostwa, drzewa, brzegi grubieją. Stygnie wszystko, a pulchny kurz pachnie na drodze. Gasną głosy, ustaje wszelki ruch, a gwiazdy, jak żywe gwoździe wyskakują po niebie i trwają drobną gęstwą.



Przy Wojcieszkowym płocie, nad główną drogą, jak zwykle o tej godzinie, gromadzili się młodzi ludzie z przysiółka i z dalszych chałupiek. Różni ich po twarzy już nie podobna, ale po głosie wiadomo, że prócz stałych obywateli, jak Edek Sobczyk, Antoni, Bolek Wiśniewski i jego młodszy brat Witek, przybyli chyba i inni, bo czarna plama sięga już do drugiej wierzby przy sztachetach i do połowy ulicy. Rozmawiają nie wiadomo o czym. Szeleszczą białką, bo kręcą papierosy, migieją ogniem, to kilku się nachyla nad zapalka. Potem plują, przestępują z nogi na nogę. Słychać, miłskanie, bo gryzą wczesny owoc.

Dwa cienie odbity się od gromady na drugą stronę drogi. Stefek jest wysoki, drugi zaś bardzo mały.

— No, mów — odezwał się wyższy.

— Nie było ich tak dużo.

— Kogo?

— Żandarmów. Może sześciu, ale jak się rozbiegli, to widziało się ich w każdym miejscu. Na wysiółku. Pod szkołą. Za stawem. Wszędzie. Padli na ludzi strach, bo nikt nie wiedział za czym przychodzą. Żeby to choć o sołtysa pytali.

— Teee, przestań rzucać ogryzkami — krzyknął ku sztachetom.

— A, nie odzywaj się, bo będą jeszcze więcej rzucać.

U Dudy zastali wszystkie trzy. Dwie zapisane, bo Józka okazała się mądra w takiej opresji. Wynosiła akurat cebryk z pomyjami i utknęła gdzieś w słomie.

— U Cholewy?

— Tak, tak. Tadek konie poił, a panna skrobała ziemniaki. Zapisani. Romek Ryńca umknął, ale Stasia wpisała dokładnie z kenkarty.

— Przestań rzucać, mówię, ogryzkami! — wrzasnął znowu ku sztachetom.

— Nie odzywaj się do nich.

Bez mała wszystkie — mówił Tadek — domy przeszli, a że ludzie wracali już z pola i krecili się po chlewach, to było w czym przebierać. Nigdybym nie pomyślał, że tyle jest dziewczyn w Bukowcu. Sześcidesiat, mówię, ci, co do sztuki wiem i to bez smar-katych.

— Powiedźże nareszcie, jak u Kwietnia?

— Pomału. Kiedy to ostatni raz byłeś u Marysi? Aha. Pamiętasz, co jej matka mówiła. Nie daj ci, Boże takiej teściowej, Stefek.

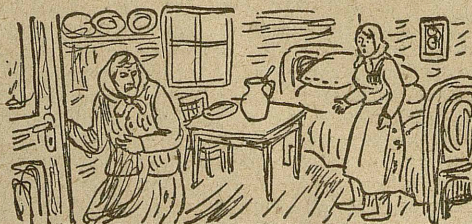
— Co mówiła?

— Lepiejby się podała na roboty! Albo się gdzie chcesz podziej, włóko, żebyś ino z tym wielebnym Stefkiem nie chodział! A ręce tak, jak na krzyżu baba zakłada...

— Aaa Pomyłona.

— Nie o to idzie. Przepowiedziała sobie. I wczoraj okropny lament.

— Ostatnie dziecko na roboty! Po ludziach pełno próżniactwa, a mnie z gospodarki zabierają. Mówiłam ci, wydaj się za kogo bądź, to by żyłatej nie wzięli na roboty, boś wtedy już nie panna. Maryśka fuknęła, jak kotka. Głupiaście mama, Niemcowi tak powiedzcie, bo nie wie. Wyklinaliście przecież, żebyśmy już lepiej na roboty jechali!... Tak? — wrzasnęła matka — głupia mnie będziesz nazywać! Jedź! Jedź! I wypadła do sieni płakać.



Jeszcze było widno, ale żandarmi przecież nie chcieli czekać wieczora. Stoją już razem w Sobekowym sadzie i szwargocą. Wezwali sołtysa i zaczęli się zbierać do odjazdu.

Wielkie szczęście, że się Kwiecień zjawił. Miałbyś Stefek dobrego teścia. Podszedł od razu do Niemców, jak do najmilszych ludzi i prosi ich łagodnie na podwieczorek. Chłopi szli się i jakoś lżej patrzyli, bo tu już w głowach się poprostowało. Ugościć za wszelką cenę! Ulagodzić! Sołtys rozesiał gońców za składką, a Kwiecień zagarnął całe towarzystwo do Sobeka. W każdym domu płacili, tylko Dudracka, której tak samo zapisałi tą pyzatką Kazię, rozdarła się na chłopaka jak stodoła. Na jakiego diabła — mówi — będę dawać? Niech bogacze płacą. Mnie wnet przyjdzie morgę sprzedać, żeby dzieci od robót wykupić.

— Edek! Dasz spokój z tymi ogryzkami?

— Czego chcesz pępku? — rozdarł się któryś spod sztachet — nie ma Fdka. Spowiadaj się dalej.

— Karabiny — mówi Tadek dalej — ustawił pod oknem. Pod tym od sadu.

— A Maryśkę zapisali? — pyta Stefek zamyślony.

— Tak.

— Twoją też?

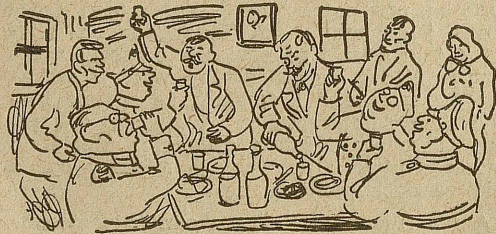
— Tak.

— I co?

Biedrawka! Biedrawka — krzyczą ucieszone baby. Dobrze, żeście są, I jak nie było pewności, czy na pijatycie wieś skorzysta, tak teraz wszyscy, kto przy tym był, uwierzyli, że dzieci do Niemiec tym razem nie wyjadą. Biedrawka odą! mroziacie wasy i wypiał pierś, bo uczuł się jakoś tego dnia potrzebny bardziej od kogokolwiek. Zmiałkował od razu o co ludziom chodzi. Przeszedłszy próg ukłonił się i zagadał po niemiecku. Grzecznie się przysiadł i z miejsca do obrządku. Ano, to pijmy — mówi — unosząc kieliszek. Kwiecień dolewał, a Sobekowa ładowała talerze kielbasą. Po paru kolejkach języki się rozwinęły i Biedrawka stojąc wniósł okrzyk: niech żyje dojeżdżal! A my tu — powiada — staramy się oddawać kontyngenty sumiennie, bo wasze zwycięstwo da nam dobrobyt! Potrzebujemy jak najwięcej ludzi do pracy.

Starszy sierżant powtarza w kółko: arbajten, arbajten.

Tyle się nagadali, a o jakiejś ugodzie, żeby zapisanych wymazać, nie było mowy. Kwiecień za wiele dolewał. Cóż, chłopu ręka drży, gdy myśli niecierpliwie. Żandarmi się już lygują na krzesłach i coraz weselej szwargocą. Sierżant się rozpiął, taki był już mokry. Gęba, żeby nie zgrzeszyć, jak u tłustego prosięcia. Głodziutki i w takim kolorze, a czeka małej rybki. Co, widziałeś takiego? Gdy Sobekowa przechodzi z talerzem koło niego, klepie ją bez czucia i kręci rykiem. Drudzy biją się rękami po udach z ochoty. Czego chcą? Dziewczyny! Dziewczyny! Piękne! — krzyczą.



Chłopi się trochę wzdrgnęli, ale Biedrawka...

Ooo, rany boskie! — wrzasnął na drodze biegnący małeć — mama, przeciął mi głowę! Złoooodzieeej!!!

Ha-ha-ha-ha!!! — zaśmieli się wszyscy przy sztachetach. Ustroił cię! Hahaha! Na pewno złodzieją, kiedy taki bęben o tym głośno mówi. Edek, Edek? — darujesz mu? Hy, złodziej.

— Taki, jak wy — odpalił Edek poważnie.

Daleko słychać było jeszcze tupot bosych nóg po kurzu, tak się chłopiec bał.

— I, co Biedrawka?

— Wypadł do sieni i na wieś. Tamci się bili po udach i miłskali. Chłopi, jeśli który był trzeźwiejszy, krecili się nieswojo, ale każdy się uspokoił. Cóż to, ubędzie dziewczuchom, choćby przyszły?

— Po pół godziny zjawili się nasze Maryśki i Władka Dulebianka, też nie brzydka.

— Nieprawda — warknął Stefek. — Nie-możliwe!

— Tak. Twoja i moja. Przecież nie wiedziały po co.

— Nie wiedziałyby?

— Z pewnością nie. Biedrawka im wytłumaczył, że trzeba osobiście prosić o zwolnienie. Głupszy jest, jak myślałem. Przecież to człowiek światowy. Ale widać dziad ma ambicję chłopską i chciałby pokazać najładniejsze. Żeby żandarmi wiedzieli, jakie to panny w Bukowcu urodne rosną. Mógłby zawołać tamte z przysiółka, któreśmy golili za kontyngentowców. Cóż kiedy dziad jest honorowy.

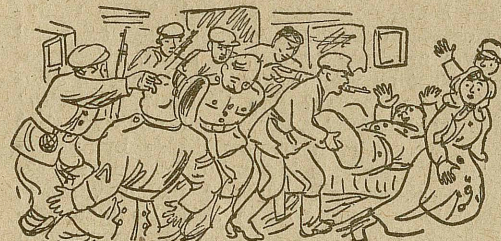
Skoro dziewczyny weszły do izby zaleknione na widok tylu ludzi, prosięciu gęba się ożywiła. Tamci biorą jedną we dwóch na kolana. Zrazu pisk. Ale panny piją i wódka łagodzi. Bronia się jeszcze przed rękami, ale coraz słabiej, aż im już i ręce nie wadzą.

— Chłopaki! — wołają Wojcieszkowa z ogródka — nie widzieliście naszych gęsi, jak szły do stawu?

— Chłopaki są w lesie — krzyknęli. Gęsi szły do stawu?

— Powiedźcie, powiedźcie — nalega staruska — bo ich jakoś nie widać, a późno przecie.

Raptem, okno się otwarło. Drzwi lekko skrzypnęły. Do izby wpadli cicho trzeźwi ludzie. Karabiny podają komuś przez okno, ale chociaż nie hałasują przy tym, to przecież ruch się robi. Sierżant się poderwał i odgina pistolet. Dostał w łysinę. I skrzepował go. Kaprała zwlekli z łóżka. Patrzył i mrugał. Czego się dziwisz — zapytał któryś — rozespansy? Powiązali wszystkich i kneblowali sianiem. A później na podwoły, które na drodze czekały...



II

U Buckiego zabili dziś świnię i po sprawie gospodarz zamierzał uwieźć w nocy. Nie była to dobra pora, bo akurat jabłka dojrzewają, więc dwie roboty będą na noc, bo przecież owocowi trzeba pilnować.

Gdy Stefek uganiał się przed Jakubowym wilczurem, to Tadek gwizdał na łąkach. A Edek z Bolkim czołgali się przez Michelowo ziemniaki prosto na Buckiego pszczeni. Cicho, żeby psy w tę stronę nie szczerkały. Już są przy płocie. Kolejno przechylili się w sad i przez namieki od rosy trawnik dotarli szczęśliwie ku ulom. Wtem psy rozszczekały się okropnie ku drodze, sycząc łańcuchami po drutach. Gospodarz podkreślił latarnię i biegł ku suszarni. Psy atakują. Chłopaki wyszli zza uli i już obrywają jabłka z czubka. Tamci na drodze uciekli, obrzucając bryłami tak gęsto, że o mało chłopu latarki nie stukli. I wtedy Bucki zrozumiał, o co chodzi. Jest z powrotem w pszczeniu i zadarłszy głowę do góry woła:

— Schodźcie! — Poznałem. Bolek i Edek!

Chłopaki milkną i obrywają spokojnie. Nie wiele myśląc, pędzi chłop z latarnią ku domowi. Psy się ruszyły od nowa. Gdy dobiegł kieratu, bo chciał mieć bliżej, zarechotały zniemacka tryby, drąg zgasił światło i Buckiego obalił. Nim się chłop podniósł, a trwało to kilka sekund, uczuł prędkie kije na plecach.

Co się tam wyrabia — pyta zaspana kobieta, gdy wpadł do kuchni. Przeskoczył pułstą izbę do komory. Pobyl tam chwilę i wyszedł bez światła. — Na jabłka przyszli — warknął wściekle. Wybiegł, omijając kierat z daleka. Tymczasem papierówki dudnią jak gruby grad. Bolek szaleje na wierzchołku. Pięć par rąk łapczywie zbiera prawie leżące, żeby mniej bolało od spadającego owocu. Psy ujadają wytrwale.

Antoni — mówi Witek — postawicie bułtelkę za przygotowanie operacji, bo tak dobrze to się...

Nie dokończył, bo nagle syknął huk z ogniem prawie z bliska. Drugi. Trzeci. Przez trzaskający plot wała się z brzegu szare cienie, nie dbając o nic, byleby je brzeg zasłonił.

Reszta nocy zeszła spokojnie. Gdy rano Bucki szukał śladów znalazł na brzegu prawie pełnywór, który leżał, usypując trochę jabłka na boki i w dół jak wnętrzności rozprutego brzucha. Trawniki na brzegu wydawały się gdzieś niedaleko okrwawione. W ziemniakach zaś stał mokry od rosy trzewik lewy, dobrze znany, bo tak nosił Jasu od Dunina. Wiek Jasu był u wujka kraść?

Miał Bucki blisko kilku sąsiadów, ale nie ze wszystkimi się lubił. Z Michalem gniewają się już dziewięć lat będzie na Matkę Boską Zielną, a jednak złości nie ubywa. Może ludzka natura już taka, że zazdrość musi człowiekiem włączyć i kierować przeciwko drugiemu, choćby był aniołem. Michel

nie był skory do bicia, albo podpalenia stodoły, co się wielu ludziom zdarza. Może i nie ukradłby nic grubszego. Nie darował jednak żadnej okazji do sprzeczki niby łagodnej, ale zaprawionej złością. Tego ranka, gdy Bucka zbierała otrzęsiony owoc, sąsiad stał w ziemniakach podparty motyką, a w pobliżu nie było nikogo.

He, he, he — miał takie przysłowie — ktoś w nocy rypał z karabina maszynowego.

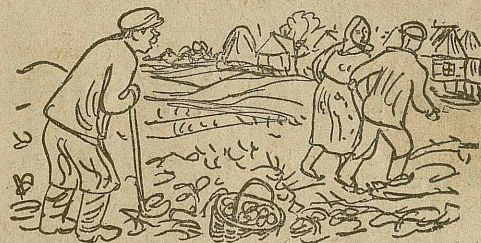
A po małej chwili znowu — tak, akurat po tamym narożniku. Nawet mi deskę zdziurawiło.

Bucka nie wytrzymała. — Posadziłyś sobie drzewka, wółku, a nie patrzył na czyje!

Sąsiad udaje, że nie słyszy i, zwracając się do kogoś niewidzialnego, tłumaczy donośnie. — Widać, kto się czym trudni. Pewnie Niemcy dają pozwolenie na armaty do pilnowania papierówek!

Nic się przy was, smyki, nie utrzyma — woła Bucka z coraz dalszą, bo ją chłop ciągnie do domu.

He, he, he — prawi swobodnie sąsiad ubawiony — nawet się Kaśca kiocić nie pozwoli. Boisz sieee? Przecież nie ty strzelaa!



Tego dnia nie było we wsi spokoju, a u Buckiego chodzili, jak struci. Po południu przybiegła Kotulinka pożyczyc siłki. Staneła jak lasica wśród podwórza. Uniosła głowę i opuszczała, a rozbiegane oczka obejrzały już połowę obejścia. Gospodyni szła z koszykiem od stodoły i tak się spotkały.

— Wiecie co się stało w Bukowcu? — pyta rozgniewiona Kotulinka. I nie czekając odpowiedzi mówi — Desanty! Zabrali żandarmów, którzy przyjechali po ludzi na roboty.

— Ooo — zdziwiła się gospodyni zwyczajnie.

— Z Bukowca od wczoraj ludzie uciekają z krowami i pierzynkami. No co, spala wieś. Nie?

Zanim podejmie myśl, rzuciła okiem na chlewy i przedmknąwszy spojrzeniem przez twarz Buckiej utkwiała je w obłupanych z tynku schodach, gdzie leżał stary pędzel z prosa. Równocześnie przerażona rękami pod zapaską, unosząc ją, jakby podsiewała na przetaku.

— Ale to nic. Bójcie się Boga! Sobczyk od rana beble po wsi, że i do nas mają żandarmi przyjechać.

— Nawet by źle nie zrobili — odparła niespodzianie gospodyni — patrząc na ule.

— Może by złodziejstwo trochę przebrali.

Kotulinka nieznacznie przeleciała spojrzeniem przez policki, czoło i pierwsze kropki na chusteczce, później brodzie i już sięgała po nosie do oczu, ale stać cofnęła się, spojrzawszy raptem na swoje nogi.

— Nie, nie — powiada ciszej — ktoś zdał na posterunku, że tu po nocach są ćwiczenia ze strzelaniem. O to Niemcy przyjadą. Aha, pożyczcie mi siłki. Zagadałam się, a tam krowa ryczy.

Dopiero po jej odejściu Bucka zastanowiła się nad tym, co już Staś mówił wróciwszy ze szkoły. Mówił przecie, że Sobczyk zapowiadał przyjazd żandarmów z powodu nocej strzelaniny. I zalekła się bardzo, bo przecież nie było tajemnicą — ani kto strzelał, ani u kogo była broń. Skoro zaś posterunek się dowiedział, to pewnie, że ludzie nie nadstawiają głowy za Buckiego. Dla własnej skóry poświęca jednego i to właśnie tego, który zawinił. A przestrzegała chłopca tyle razy...

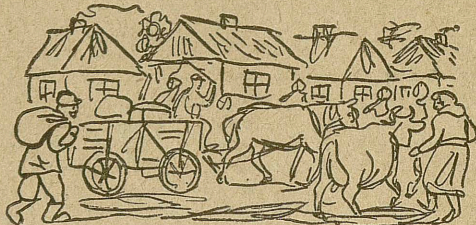
— Po co ten Tadek się włóczy do nas akurat w nocy i łazić? Nie trzymaj w domu, czego nie wolno, bo będzie z tego kiedy okazja.

— A ty wiesz o tym — uspokajał ją mąż — prawie tyle, co Kotulinka o geografii. Pilnować dzieci i domu, ja nie zgine, ani was nie sprzedam.

Po takiej odpowiedzi, która bywała spokojna, Bucka wdychała głęboko i szła do roboty, bo jakże postąpić inaczej. Tymczasem dziś mogła triumfować, bo się miało przeczyć sprawdzić. Gdyby to jednak ktoś obcy był w opresji a nie jej dom. Nie mogła w zamysleniu trafić do trzeciej szufladki w komodzie. Gdzież ta szufladka? I chłopca od kilku godzin nie widać.

Bucki przed południem spotkał Stefka i Tadeka i dowiedział się, że Edek Sobczyk jest postrzelony w nogę i odgraza się. Na posterunek już posyłano listów do Komara, żeby donosił ile się da osłabił, albo nie dopuścił do aktu. Odpowiedź będzie za trzy godziny — pisał granatowy policjant Komar. I Bucki sterzał w umówionym miejscu, oczekując postać. We wsi zaś wrzawało. Uciekinierzy z Bukowca, którzy stanęli tu furmanami na przeczekanie, wyjeżdżają dalej do następnej wioski, bo im się wydaje, że tu

nie dość jeszcze bezpiecznie, tym bardziej, że pogłoska o możliwej wizycie żandarmów z powodu nocnej strzelaniny zajął już do każdej chałupy. Miejscowi zaś, nawet krewniacy skwapliwie pomagali im w zaprzęgnięciu, żeby się pozbyć, być może grzechu. Wszak goście z Bukowca są na pewno przebiegami. Prawie cała wieś była w to zamieszana, że żandarmów upili. Jedrusie? A, ci to z pewnością dla broni się zjawili. Tak czy owak, daj Boże, żeby obcych wsi nie było, to może badanie przejdzie lżej, gdy nie podejrzanego żandarmi nie znajdą.



Będzie — myślała znowu zmęczona Bucka — zupełnie podobnie jak wtedy, gdy spalili Wyrobka z Bugaju. Gospodarka, jak perla, a te pobudynki! Czy kto bronil, albo radził? Michel się podeprze motyka i będzie uragał. He, he, he. Zachciało mu się polityki.

— Idźcie, Stasiu z krowami. Kiedyż wyżesz, jak słońce zajdzie? Dzień się dłuży, gdy obawa przed nieszczęściem, które ma nadejść, zakorzeni się i roj, zatrzyma, szarpie myślami to tam, to tu. Czy wystarczy, gdy wszystko zastaną według prawa? Gorzej z tym, że nie zastaną. Co trzeci dom chowa świnie bez kolczyków. Pogubiły? Tak? Dlaczego nie wszystkie pogubiły. A tu biała mąka skąd? Pokwitowanie za kontyngent okazać. Gabrys czuł się spokojny, bo wymędrkował, że wiadomo, kto winien i polityków załapią, nikogo więcej. Od kontyngentów jest przecież ten gruby z Teresina, a nie żandarmi. Czy miał Gabrys słusność?

Przez wieś coraz przemykał się ktoś na rowerze. Nie tytoniarze, ale jacyś inni ludzie szukają tu przed wieczorem interesu, chociaż nigdzie nie wstępują.

Zmierzając pomalutku gęstnieje. Mgiełka od łak paruje leniwie, trzymając się niższych miejsc. Szarzej i ciemni się pod pagórkami. Z tamtej strony wsi, gdzie wiodła droga na Bukowiec, zaszczeaka karabin maszynowy pierwszy raz. Ucieli i nie powtarza się nic takiego. Kiedy indziej słyhać o tej porze szczekanie psów, porykiwanie bydła i gęsi jazgot, a w obęsiciu kwik słoń i chrząkanie. Dlaczego dziś ucho ludzkie unika codziennych dźwięków, oczekując na inne? Psy Buckiego zerwały się znowu ku drodze z

wraskiem. Matko Boska — zadygotała gospodyni — poczośmy to prosić zabił? Zakopać. Pomoże to? Nie oni, to ludzie wybiórą z dołu.

— Mama — wpadł Staś — rakiety puszczają! Z trzech stron!

— A, cóż tam rakiety, dziecko. Wylecie za ojcem może do sklepu.

Zanim chłopiec się namyślił, ojciec wszedł do izby. Zmieniony bardzo i milczący. Ulać chleba z kromki i pochlipując żurem, zda się z posiłkiem przygryzał ostatnie wiadomości. Był posłaniec z niedobrą kartką od Komara. Lecz posłańców widziało się we wsi więcej i dopiero to przyniosło Buckiemu ulgę. Przed południem, gdy tyle zaledwie wiedział, że posterunek otrzymał doniesienie z jego nazwiskiem, poczuł się zupełnie samotny, a pielęgnowany karabin gotów byłby wyrzucić w gnój. Sobczyk. Tak. Zle zrobił. Ale przecież o jabłku nie wolno się zdradzać, bo za to od swoich poniesie karę. Druga kara od Niemców. Z tej matni nie było wyjścia, chyba ucieczka i porzucenie wszystkiego w domu na pastwę losu. W same zniwa. Wyczekując posłańca przeżył taką rozterkę, jaka mu się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyła.

I teraz wszystko się odwraca na dobre. Żandarmi uderzą w całą okolicę naraz. Chłopi zaś wyjdą przed nich w zboża nad dro-

gami. Myśląc o tym Bucki uniósł głowę z nad miski, patrzy na Stasia i na Bronkę. Wąsy się ruszają, jakby nakrywały politykany kęs chleba i przytakują za szczękami.

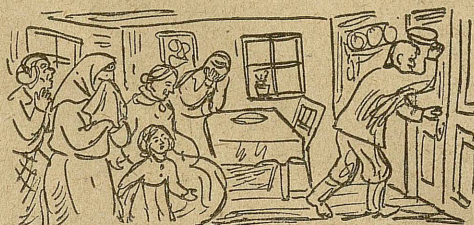
Wreszcie skończył. zmiotł ręką okruszyny ze stołu. Patrzy znowu dziwnie na dzieci i na matkę, szczęśliwy, że go o nie nie pytają.

— Nie ruszajcie się z domu, choćby wszyscy uciekali. Pilnujcie aż wrócie... — i pośpiesznie chwyciwszy czapkę wychodził.

— A, a, a, gdzie idziesz — pyta kobieta przez łyż. — I wszyscy troje zaczęli płakać, aż Józka, która wracała od dojenia stanęła wryta na progu.

— Co się stało? — i przyłączyła się do nich.

Edward Marzec



Dyskusja o poezji

Witold Wirpsza

O WŁAŚCIWY STOSUNEK DO TRADYCJI

Ponieważ w artykule Mieczysława Jastruna „Spór o poezję”, w artykule Jerzego Ciosa, zamieszczonym w jednym z dawniejszych numerów „Wsi” oraz w artykule Lecha Budreckiego „Tylko tradycje ostatniej daty” znalazło się kilka uwag, świadczących o tym, że stosunek poetów młodszych pokoleń do tradycji kulturalnej został (sądzę, że w dobrej wierze) przez wszystkich trzech autorów całkowicie fałszywie zrozumiany, uważam za konieczne napisać tych kilka słów wyjaśnienia.

Zacznę od sprawy epigonizmu, która posłużyła Jerzemu Ciosowi za pretekst, aby mnie pouczyć, jakiego to mianowicie nowatorstwa potrzebuje dzisiaj klasa robotnicza. Później cały ten ustęp został zacytowany przez Jastruna w jego artykule — strzały, przynajmniej, bardzo celne — ale do papierowej tarczy. Jeśli występowałem przeciw epigonizmowi, to nie wskazywałem bynajmniej na oderwanie się od tradycji, jako na otruć. Chodziło mi o coś zupełnie innego.

Stosunek do tradycji może być dwójaki: może być twórczy — i może być mechaniczny; w tym drugim wypadku jest epigonizmem. Wyjaśnijmy to na przykładach.

Sięgnę do tematu, bliskiego jednemu z moich oponentów: jeśli Jerzy Cios, jak to wynika z szeregu zamieszczonych we „Wsi” artykułów, naprawdę dobrze zna się na muzyce Chopina, to wie z pewnością, jaki był stosunek kompozytora do Jana Sebastiana Bacha. Chopin wiele się od Bacha nauczył i wiele jego zdobyczy muzycznych (etiudy!) wywodzi się w prostej linii ze zdobyczy muzyki wielkiego kantora z lipskiej Thomaskirche. Ale nigdy się chyba dotychczas nie zdarzyło, aby miłośnik muzyki, słuchając jakiegoś utworu Chopina, zawołał: „No, moi państwo, ależ to czysty Bach!”

To jest — w wielkim skrócie — dowód genialności Chopina na jednym tylko odcinku, stanowiąc kalsyczny przykład twórczego stosunku do tradycji. Chopin, zaczerpnawszy z wielkiej spuścizny Bacha, stworzył całkowicie odmienny język muzyczny, będący odbiciem całkowicie odmiennego epoki.

Drugi przykład: poezja Pabla Nerudy. Panuje powszechne (i, sądzę, częściowo uzasadnione), przekonanie, że Neruda jest kontynuatorem Withmanna. Sądzę jednak, że o wiele bardziej istotną rzeczą byłoby wskazać, jak wielkie pokrewieństwo łączy Nerudę z wielkimi monologami politycznymi i z chórami dramatów królewskich Szekspira. Pokrewieństwo, ale nie podobieństwo. **Oparcie się o tradycję szekspirowską, ale nie naśladowanie Szekspira.** Nie ma tu mowy o tzw. „wplywologii”. Przeciwnie: Neruda stworzył w nawiązaniu do Szekspira nawskroś współczesny język poetycki.

A oto fragment wiersza pewnego współczesnego poety:

Grecjo Byron! U twych skał
Korzy się morze jak przed wiekiem;
Wzdyma się czarnopienny wał,
Na brzegu kłeka przed człowiekiem.

Pierwsza reakcja czytelnika: „Oho, tu dźwięczy coś znajomego!” — i po chwili refleksji: „Już wiem! Ależ to czysty Puszkini!” Kto zaś dobrze zna Eugeniusza Onegina, deklamuje sobie w duchu frywolne strofy:

Lubliu ja morie pried grozaju,
kak ja zawidywał wojnam,
bieguszczym burnoj czeredaju
s lubowiu liecz k'iej nogam...

Sądzę, że na tym dyskusja w sprawie epigonizmu jest chyba zamknięta. Wydaje mi się ponadto, że jestem w tej materii zgodny z moimi oponentami. Jedno tylko pytanie pod adresem Jerzego Ciosa: jaka poezja lepiej służy walczącej klasie robotniczej — czy poezja Pabla Nerudy, czy poezja mechanicznych naśladowców? I czy zadaniem współczesnego poety nie jest znalezienie, w

oparciu o tradycję „od Romulusa do naszych dni”, takiego języka który by w pełni oddał treść czasów, w których żyjemy?

Przy okazji chciałbym wyjaśnić kilka dalszych nieporozumień, których ofiarą stał się Lech Budrecki, pisząc artykuł „Tylko tradycje ostatniej daty”? Nie wiem, skąd się wziął w tym artykule pomysł, że poeci, którzy zaczęli pisać po wojnie, kontynuują poezję Eliota i Maxa Jacoba? Kto to robi? Różewicz? Bratny? Kubiak? Proszę mi pokazać choć jeden wiersz tych poetów, który byłby nawiązaniem do tego kierunku. (Pragnę się zastrzec: proszę nie cytować moich wierszy, powstałych przed rokiem 1947. Do tego czasu istotnie bowiem byłem pod wpływem poetyki, o której mowa — i, rzecz jasna, nie mogłem wtedy wydobyć współczesnych akcentów politycznych. Proszę także nie cytować poetów, którzy debiutowali i rozwijali się w kręgu wpływów redakcji „Książki” — bo to zupełnie inna sprawa).

Dalej: proszę mi wykazać, że poeci, którzy zabrali głos w dyskusji, toczącej się na łamach „Odrodzenia”, bronili poetyki Eliota, Jacoba i Préverta. Że odwoływali się do kunsztu Rimbauda. Budrecki użył zwrotu „młodziacy apel”. Jedno nieporozumienie więcej!

A sprawa Awangardy? Jestem ciekaw, skąd się to wzięło w naszej dyskusji? Praktyka poetycka młodego pokolenia wyraźnie wykazuje świadome odwołanie do tradycji i postawy Awangardy. Hasło odmetaforyzowania wiersza, wiersze, operujące przeważnie „suchym” obrazem poetyckim, unikającym figuracji i pozbawionym tego, co Irzykowski nazywał „kosmicznym” — są najlepszym tego dowodem. Ta praktyka poetycka ma zupełnie inne tradycje. Z polskich — poezja „mówiona” Adama Mickiewicza; prócz tego proszę sobie przeczytać jeden z listów do matki Juliusza Słowackiego, w którym poeta pisze, że chciałby, aby jego poezja była „gadana”. Z obcych — „Pieśni zwycięskie” Pindara, gdzie stary Grek używał języka, zbliznego do dzisiejszych komunikatów sportowych — czy choćby monologi Szekspira, o których była mowa poprzednio. Oczywiście, że sięganie do tych tradycji nie oznacza w żadnym wypadku jakiegokolwiek zamiaru naśladowania.

Ostatnim wreszcie nieporozumieniem, tym razem słownikowym, jest sprawa „pseudoklasycyzmu”. Otóż ja rozumiem pod tym słowem sięganie do gotowych już wzorców poetyckich, uformowanych w innym czasie i przez treści klasowo obce lub wręcz wrogie. „Klasycyzm” bowiem, to nie inne, jak osiągnięcie dojrzałości na danym etapie rozwojowym. Innymi słowy, epitet „pseudoklasycyzm” pokrywa się częściowo z epitetem „epigonizm”. Ze użycie tego terminu wywołało nieporozumienie, jest oczywiście winą tych wszystkich, którzy go używali bez komentarza — a więc i moja. Z tego mojego wyjaśnienia wynika jednak chyba dosyć jasno, że rzekomy mit o poetach „pseudoklasycznych” nie jest mitem, tylko rzeczywistością. A rzeczywistości nie można rozwią-

nić. Nie chciałbym przez to wszystko powiedzieć, że poezja młodego pokolenia osiągnęła wszystkie te cele, które przed nią stawia współczesność. Dlatego też zakończę ten polemiczny artykuł cytacją z Goethego, którego dwusetną rocznicę urodzin będzie obchodził w sierpniu br. cały cywilizowany świat:

„...dziś pragniemy wciąż jeszcze być do-
brymi pisarzami i artystami, jak kilkadziesiąt lat temu: środki jednakże, jakimi się cel osiąga, nie każdy sobie dobrze uświadamia i dlategoż mielibyśmy zaprzeczyć, że najprzyjemniej byłoby wykonać wielki zamiar z dziecinną łatwością”.

Jerzy Cios

WALKA Z „PSEUDOKLASYCYZMEM”

Dyskusja o poezji trwa w dalszym ciągu. Mamy już nowe jej odgłosy. Tym razem możemy szukać ich w artykule Witolda Wirpszy: „O właściwy stosunek do tradycji” stanowiącym replikę na szereg wypowiedzi (między innymi i na moją), replikę, która miała widocznie na celu sprostowanie całego szeregu nieporozumień. Zobaczymy tedy, do czego sprowadza się ta interpretacja, jakie kwestie porusza i jak je objaśnia. Wydaje mi się, że w rozważanej przez nas wypowiedzi trzy sprawy autor uznał za najważniejsze, za kluczowe dla dalszej wymiany zdań. Są to: problem epigonizmu, problem tradycji „młodej” poezji i wreszcie wyjaśnienie znaczenia terminu pseudoklasycyzm uważanego za zawołanie bojowe z jednej strony, kwestionowanego z drugiej. Zajmiemy się kolejno każdym z tych zagadnień.

A więc epigonizm... Wirpsza wyróżnia dwa typy stosunku do tradycji: mechaniczny i twórczy, zalecając np. „oparcie się o tradycję szekspirowską, ale nie naśladowanie Szekspira”. Zgoda, nikt temu nie przeczy. Wszyscy chyba w tym miejscu wykazał podziwu godną jedynomyślność. Ale tu od razu pojawia się trudność, której młody poeta nie potrafił przezwyciężyć. Jaki jest wyróżnik epigonizmu? Po czym się epigonizm poznaje? Sposób obrazowania, technika rymu, strona znaczeniowa czy też rytmiczna wiersza? Znajdźmy wreszcie klucz do tego wszystkiego. Dowiedzmy się, jak poznać mechaniczne naśladowce, by potem wskazać nań, by mu to udowodnić. Na dobrą sprawę bowiem, biorąc artykuł Wirpszy za wytyczną, nie można by przeprowadzić proponowanego przezeń podziału odnośnie jakiegos epoki w historii literatury. A to wszystko z tej przyczyny, że nie zdefiniowano podstawowego pojęcia. Owszem, dano nam rzekomy przykład epigonizmu. Wyjęto zwrotek z wiersza współczesnego poety, zestawiono ją ze zwrotek puszkinowskiego „Eugeniusza Onegina” i orzeczono: „naśladownictwo”. Nieśwety, taki dowód ad oculos, nie bardzo przekonuje. Sądzę, że należałoby wprawdzie wskazać na zbieżność i dowieść, że są one rzeczywiście rozstrzygające. A zresztą dla jakich powodów podobna świadoma aluzja do dawnego utworu poetyckiego miałaby być z miejsca dyskwalifikowana.

Ale w uwagach Wirpszy odnośnie stosunku do tradycji zaniepokoiły mnie jeszcze inne miejsca. Mianowicie brak selekcji minio-nych wartości artystycznych. Mówi się o tradycji i to tradycji „od Romulusa do naszych dni”, nie wybierając w niej epok, pisarzy, dzieł, do których należałoby nawrócić. To już zgola niebezpieczne. Nowa poezja ma się rodzić w oparciu o wszystko, co napisano od Homera do lettrystów? Wydaje mi się, że selekcja stylów poetyckich, z których mamy czerpać, w których mamy doszukiwać się pozycji „żywych”, winna odbywać się bardziej ostrożnie. Wirpsza bowiem proponuje, jeśli by wyciągnąć wszystkie konsekwencje z jego sformułowań, sięgnięcie tak do Ariosta jak i do Mallarmego, tak do Majakowskiego jak i do Ezry Pound. Naturalnie przejmować będziemy twórczo! Ale jak? Jak trzeba dzisiaj adaptować twórczo Norwida czy Puszkina, czy wreszcie Goethego? Brak odpowiedzi.

A oto zaczyna się gwałtowna polemika ze mną. Wirpsza nie wie, skąd wziął się pomysł, że poeci, którzy zaczęli pisać po wojnie kontynuują poezję Eliota i Maxa Jacoba. Wirpsza wyraźnie stwierdza, że młodzi poeci nie bronili w dyskusji, która toczyła się na łamach „Odrodzenia”, poetyki Préverta i Rimbauda. Wirpsza widzi na koniec w twórczości „młodej” całkowity rozrób z Awangardą. Odwołujemy się do faktów. Już chciałem zacytować strofy noszące wyraźny wpływ obrazowania Jacobowskich poematów, kiedy wstrzymała mnie nagle klauzula mego oponenta. Otóż nie wolno powoływać się na przykłady „młodych”, którzy debiu-

towali i rozwijali się w kręgu wpływów redakcji „Książki”. A to niby dlaczego? Czy to nie poeci? Czy ktoś drukujący wiersze w „Książce” automatycznie starzeje się i przeobraża? Czy wreszcie „Książka” to siedlisko wstecznicstwa estetycznego? Zupełnie nie rozumiem. A przynajmniej się, chciałem przywołać przykłady zaczerpnięte z wierszy Radka, Brauna i Gruszczyńskiego. Ale skoro nie można, skoro o nich nie wolno w ogóle mówić...

Młodzi poeci podobno nigdy nie bronili Préverta. A przecież Bratny widział nowatorstwo Różewicza w jego sprozaizowanym języku. Takim właśnie językiem przed wojną już operował Jacques Prévert z czego nie wynika jednak, aby zaraz ustalać tu jakieś związki wpływowe.

Odejdźcie od Awangardy? Zgoda, nigdy nie twierdziłem, że wśród wszystkich debiutantów ostatnich kilku lat straszy cień Peipe-ra. Ale czy rzeczywiście walka z figuracją? Czy praktyka artystyczna każdego z „młodych” potwierdza hasło odmetaforyzowania wiersza? U Różewicza w znacznej mierze tak, ale u innych? Rozejrzyjmy się w materiale, poczytajmy trochę:

„Z góry prowadzi srebrna szyna błyszcząca
kropli lipcowej
— będzie deszcz, deszcz będzie spadał...
Krople! Na huśtawce gwiazd wilgi
chmurka blada”.
Roman Bratny
(„Spacer po pogromie”)

„...Smakujcie jabłko Cézanne’a na ulicy
Menil-Montant,
Którego kolor zalewa ulice jak morze!
(Jedynie ostrzyż wiedza o morzu tyle,
Że wypełnia im muszle).
W cztery ramy obrazu stąd droga prowadzi,
gdzie kolor
— Nie wiedząc — sprzedają na wagę”.
Zbigniew Stolarek
(„Jabłko Cézanne’a”)

„Ślad podkowy
Twój herb
Znałeś miękkość żelaza.
Lecz gorejące kwiaty
Zaostrzyły się w czerń”
Marian Jachimowicz
(„Ojcu”)

Przypuszczam, że na podstawie tych przykładów można wyciągnąć bardzo proste wnioski. Nie ma co mówić o jakimś gremialnym odejściu od tego typu chwytów poetyckich, które postuluwała Awangarda, o wyrzeczeniu się ich przez całe młode pokolenie. U poszczególnych poetów znadżenie pozbycia się ich, ale dlaczego od razu mówi się, że znadżenie ich w wszystkich? Przestańmy nareszcie posługiwać się mitem jakiegos jednolitej „młodej” poezji. (Sam zawiniłem tu niemało). Spróbujmy je jakoś podzielić, poklaskiwać, a wtedy zobaczymy, że Jachimowicz różni się bardzo od Bratnego, a Bartelski od Różewicza.

No i pseudoklasycyzm! Okazuje się, że termin ten częściowo pokrywa się z terminem epigonizm. Ale znów pytania, które stawialiśmy uprzednio wracają tym razem ze zdwojoną siłą. Tu jednak mamy już na nie odpowiedź. Wirpsza pisze przecież wyraźnie: „Otóż ja rozumiem pod tym słowem (pseudoklasycyzm — przypisek mój L.B.) sięganie do gotowych już wzorców poetyckich uformowanych w innym czasie i przez treści klasowo obce lub wręcz wrogie”. W takim razie ma rację, twierdząc, że pseudoklasycyzm w naszej poezji współczesnej nie jest dziełem wyobraźni, lecz rzeczywistością. I dlatego pragnąłbym, by podjęto nareszcie walkę z pseudoklasycyzmem Jachimowicza i innych kontynuatorów symbolizmu, z pseudoklasycyzmem wielbicieli kunsztu Jana Cocteau i międzywojennej Awangardy.

Mieczysław Bodalski

NOWY STATUT ZSCh.

Dokąd istnieć będzie w przeważającej ilości drobnotowarowa gospodarka chłopska i dokąd będzie mieć miejsce kapitalistyczny wyzysk na wsi, dotąd jest uzasadnione istnienie Związku Samopomocy Chłopskiej, jako organizacji, wiążącej interes drobnotowarowego chłopstwa-wytwórcy z perspektywami socjalistycznej przebudowy wsi. Wszelkie inne, likwidatorskie tendencje byłyby dowodem braku perspektywy, i w skutkach szkodliwe dla pokonania niemałych trudności i zrealizowania olbrzymich zadań, jakie przed wsią i naszym systemem demokracji ludowej stoją w tej chwili do wykonania.

Spółdzielczość wiejska ma za zadanie przede wszystkim służyć interesom biednych i średniorolnych chłopów, którzy winni nią kierować, zgodnie ze swymi potrzebami i zgodnie z interesem państwa ludowego. Równocześnie spółdzielczość wiejska winna handlować także z bogaczem wiejskim, winna od niego kupować i sprzedawać mu. Towarowość wiejskiego bogacza musi rozwijać się pod kontrolą tej spółdzielni, pod naszą kontrolą po to, by nie rozwijała się w prywatnej inicjatywie, w podziemiu gospodarczym i co za tym idzie — w podziemiu politycznym. I dlatego spółdzielczość służy mało- i średniorolnym chłopom i utrzymuje stosunki gospodarcze z wiejskimi kapitalistami. Dlatego bogaty chłop winien być członkiem spółdzielni, natomiast nie powinien znajdować się we władzach spółdzielni i nie powinien być na pierwszym miejscu, gdy chodzi o przydział nawozów sztucznych, kredytów i innych tzw. deficytowych towarów.

Rola i istnienie Związku Samopomocy Chłopskiej nie mogą być oderwane od przemian, jakie na wsi zachodzą, jakie zachodzą w naszym systemie, w naszej demokracji ludowej, ale winny być ściśle z nimi powiązane. Dlatego konieczność rozszerzenia społeczno-politycznych zadań Samopomocy

Chłopskiej na wsi nie tylko nie zmniejsza, ale zwiększa wyraźnie działalność Związku Samopomocy Chłopskiej na tym etapie rozwoju.

W projekcie nowego statutu ZSCh**) został po pierwsze, określony **klasowy** charakter Związku Samopomocy Chłopskiej, o czym mówi paragraf 1 statutu: „Związek Samopomocy Chłopskiej jest masową, bezpartyjną organizacją, stojącą na gruncie sojuszu robotniczo-chłopskiego, realizującą zadania demokracji ludowej i reprezentującą interesy chłopów mało- i średniorolnych”.

Stary statut w § 5 punkt 1 określał charakter ZSCh, jako „Zrzeszenie wszystkich chłopów w jednolitej organizacji zawodowej, realizującej zasady PKWN”.

W punkcie 2 § 2 stary statut, jako zadanie dla ZSCh stawiał „przebudowę wsi dla urzeczywistnienia ustroju rolnego, opartej na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji w gospodarstwach chłopskich, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy”.

My obecnie przyjęliśmy w projekcie, że „Związek Samopomocy Chłopskiej organizuje wsi samopomocowe, przodujące pod względem techniki rolniczej, rozwoju spółdzielczości i uświadczenia społecznego, organizuje pokazy, wystawy i konkursy rolnicze”.

W takim sformułowaniu — nowej organizacji wsi, nadajemy charakter społeczny, zbiorowy i wychowawczy — postępowy. Wobec faktu organizowania przez chłopów spółdzielczości produkcyjnej, bierność i niesukcesywność się ZSCh byłoby wsteczne i niegodne postępowej roli Związku jaką winien on w tej akcji odegrać.

Dlatego w części drugiej statutu, określającej działalność Związku, punkt 6 mówi: „Związek Samopomocy Chłopskiej opiekuje się tworzoną dobrowolnie przez chłopów spółdzielnią produkcyjną, udzielając im wspólnie z Centralą Rolniczą Spółdzielni „Sa-

**) Projekt przedłożony na Kongresie delegatów ZSCh w dn. 3, 4, 5 marca br.

Tadeusz Papier

Sprawa robotnika, chłopu i pisarza

(Z okazji pierwszego zeszytu „Teatru Ludowego”)

Ruch łączności

Ukazał się pierwszy numer XXXV rocznika „Teatru Ludowego”. Po raz pierwszy jako wydawca figuruje Związek Samopomocy Chłopskiej, który po dokonanej w grudniu 1948 r. reorganizacji TUR i TUL przejął po tym ostatnim działalność oświatową — artystyczną na wsi.

„Teatr Ludowy” spełniał zawsze funkcję książki dokształcającej i warsztatowej dla kierowników świetlic i reżyserów ochotniczych zespołów teatralnych i tę funkcję zatrzymuje nadal. Dociera przede wszystkim do przodowników pracy kulturalnej. Zmieniają się jednak warunki społeczne, gospodarcze i polityczne i w związku z tym zmienia się funkcja „Teatru Ludowego”.

W chwili obecnej około 300 fabryk w Polsce utrzymuje bezpośredni kontakt z określonymi gromadami i gminami na płaszczyźnie gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Ten ruch zwany **ruchem łączności fabryk ze wsią** rozpoczął się kilka miesięcy temu. Zaczęło się od remontu maszyn w ośrodkach maszynowych, od lutowania i naprawy sprzętów i narzędzi gospodarskich na wsi, skończyło się zaś na organizacji świetlic i przedstawień. Naturalnie, że z racji swojego doświadczenia klasowego, robotnicy są stroną instruktoryjną. „Po przyjeździe do gminy przekonaliśmy się — pisze jeden z robotników „Huty Bankowej” — że to nie będzie tylko „opieka” z naszej strony, ale raczej współpraca, w której pomoc ze strony huty będzie stanowiła bodziec do pchnięcia naprzód pracy na terenie Wołoczyna i okolic wiejskich i to nie tylko w ośrodku maszynowym, ale również w dziedzinie zagadnień społecznych, politycznych i kulturalnych”.

Ten ruch łączności fabryk ze wsią stanowi nową formę sojuszu robotniczo-chłopskiego, w której politycznie doniosłą rolę odgrywa wymiana kulturalna zespołów fabrycznych i chłopskich. Ruch ten — jak stwierdza Roman Zambrowski („Życie Partii” nr 2) — nawiązuje „do doświadczeń reformy rolnej, kiedy cechą istotną była bezpośredniość kontaktu fabryk ze wsią, bezpośredniość pomocy ze strony robotników dla chłopów, dokonujących wtedy tej reformy. **Bezpośredniość** jest też pierwszą cechą charakterystyczną nowej formy sojuszu robotniczo-chłopskiego, jakim jest ruch łączności. Forma ta oznacza zarazem podniesienie na wyższy poziom metod, stosowanych w okresie reformy rolnej, kiedy kontakt klasy robotniczej ze wsią — przy całej swej głębokiej rewolucyjności — był raczej doraźny... nowa forma sojuszu nie tylko opiera się na bezpośredniej łączności fabryk ze wsią, lecz, zaskłada, że łączność ta będzie stała i systematyczna”.

W okresie narastającej walki klasowej na wsi, na najtrudniejszym odcinku tej walki — ideologiczno-kulturalnym — klasa robotnicza znów przychodzi z pomocą wsi. Dla pisma tego typu co „Teatr Ludowy”, przeznaczonego w tej fazie dla przodowników kultury, ta nowa forma sojuszu robotniczo-chłopskiego posiada decydujące znaczenie. Wyznacza ona linię polityki pisma, polityki kulturalnej i organizacyjnej. Poszerza problematykę, poszerza bazę operacyjną nie tylko w zakresie rozprawiania pisma, ale i redagowania. „Realizowanie sojuszu robotniczo-chłopskiego w dziedzinie kulturalnej — pisze w b. numerze „Teatru Ludowego” Jadwiga Siekierska w artykule „W obliczu nowych zadań” — wyprowadza kulturę ludową z ciasnych, wiejskich oplotów na szerokie gościnnie kultury narodowej, będzie zaprzeczać kulturę narodową w silniejszym stopniu świeżością, jednością, optymizmem sztuki ludowej, a z drugiej strony — elementy ludowe w kulturze, przepojone ideą socjalistyczną — stworzą nowe wartości kulturalne”.

Czy realizowanie takiego programu polityki kulturalnej można nazwać „pomniejszaniem roli kultury ludowej...”, czy nie jest to właśnie wznieślenie jej na wyższy szczebel, bo na szczebel narodowy, socjalistyczny? — zapytuje „Teatr Ludowy”.

Pisarze — też na front!

„Silniejsze związanie ochotniczych prac artystycznych z bieżącymi pracami narodu na innych odcinkach życia społecznego, gospodarczego, politycznego i oświatowego — pisze nowa redakcja „Teatru Ludowego” w posłowie do czytelników — powinno przyczynić się do większego ich urealnienia, przez co wzrosłoby ich znaczenie i przydatność społeczna”. W innym zaś miejscu dowiadujemy się o dużych brakach repertuarowych teatru świetlicowego. Zdzisław Kwieciński „Powojenny repertuar dla teatrów ochotniczych — Spółdz. Wyd. „Sztuka”), nie wiele wymienia pozycji wartościowych spośród wielu publikacji sztuk teatralnych, jakie ukazały się po wojnie. Ten stan wynika m. in. z niezrozumiałej powściągliwości pisarzy, którzy nie umieją jeszcze odpowiadać na aktualne zamówienia społeczeństwa. Jak stwierdza Jadwiga Siekierska — prawie żaden z poważniejszych pisarzy — nie opracowuje montażu scenicznych dla zespołów świetlicowych.

Sprawa zaś jest poważna i pilna. Jeśli „Teatr Ludowy” zapowiada większą aktualizację treści pisma i ściślejsze związanie go z zachodzącymi w Polsce przemianami — to bez szerokiej bazy współpracowników, bez poszerzenia kontaktów z instytucjami społecznymi i politycznymi, z działaczami kultury, pisarzami i poetami — nie wiele będzie mógł zdziałać. Niechże się nie mówi na próżno o powiązaniu się pisarzy i poetów ze środowiskiem robotniczym i chłopskim, o „twórczym udziale pisarza w u-powszechnieniu kultury”. Trzeba uczyć się pracować z tym rewolucyjnym zapałem, o jakim mówił Lenin, bez niego nie ma zwycięskiej rewolucji.

Prof. Dr Tadeusz Hilarowicz

Sprawa wyższej szkoły korespondencyjnej

Artkuł Józefa Bartecckiego pt. „Wyższa wiedza dla ludzi na prowincji”, zamieszczony w nr 12 pisma „Wieś”, zainteresował mnie w wysokim stopniu ze względu na to, że mam już za sobą pewne doświadczenia na polu realizacji projektu wyższej szkoły o charakterze korespondencyjnym. W kwietniu r. 1945 założyłem w Łodzi uczelnię, która z początku nosiła nazwę Akademii Służby Publicznej, a niebawem przyjęła nazwę Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych, a która oprócz oddziału łódzkiego, gdzie uczęszczali słuchacze zamieszkałe w Łodzi, zorganizowała także oddział ogólnopolski korespondencyjny, który objął stopniowo przeszło 2.000 słuchaczy z całej Polski. Pełniłem obowiązki rektora tej uczelni od chwili jej założenia do końca czerwca r. 1946. Gdy organizowaliśmy oddział korespondencyjny, z miejsca zdawałem sobie sprawę z tego, że ta nauka korespondencyjna, choćby w latach następnych, musi być oparta o ścisły kontakt z wszystkimi wyższymi uczelniami typu prawn-administracyjnego (Wydziały Prawne Uniwersytetów, akademie handlowe, wyższe szkoły administracyjno-handlowe) w całej Polsce i że najważniejszym będzie taki system, że Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych jako taka rekrutuje słuchaczy, czuwa nad zdawaniem przez nich egzaminów, zapatruje ich w skrypta itd., ale że bezpośredni nadzór pedagogiczny nad postępem wiedzy słuchaczy korespondencyjnych musi należeć do profesorów różnych szkół wyższych w całej Polsce na zasadzie kompetencji regionalnej.

W szczególności zależnie od miejsca zamieszkania studentów profesorowie odośnej szkoły wyższej jeżeli nie od początku to przynajmniej od drugiego roku odbywaliby z nimi kolokwia i egzaminy, odbywaliby z nimi sami lub przy pomocy swoich asystentów repetytoria i od czasu do czasu zbieraliby ich na pewne wykłady żywe o charakterze wskazówek kierujących ich samokształceniem się z otrzymanych przez nich skryptów i podręczników itp. Rzecz oczywista, że słuchaczom korespondencyjnym byłoby daleko łatwiej przyjeżdżać do pewnego bliskiego centrum, kilka razy na rok czy nawet raz na miesiąc, niż do jednego miejsca w całej Polsce, w tym wypadku do Łodzi; zaznaczyć tutaj muszę, że słuchacze korespondencyjni Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych rekrutowali się z terenu całej Polski, dosłownie od Szczecina po Kładzko i Przemysł, Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych miała za zadanie umożliwić ukończenie studiów wyższych o typie prawn-ekonomiczno-administracyjnym przede wszystkim czynnym pracownikom administracji publicznej różnych działów. Jednakowoż system ten nie został przyjęty, gdyż musiałby pociągnąć za sobą wyrzucenie się przez środowisko łódzkie monopolu egzaminowania.

Charakter korespondencyjny słuchaczy z całej Polski ograniczył się do tego, że otrzymywali oni skrypty z Łodzi, uczyli się z nich samodzielnie i przyjeżdżali do Łodzi zdawać egzaminy, niektórzy raz na rok, niektórzy trochę częściej, ale w każdym razie przyjeżdżali tylko po to, żeby złożyć w Łodzi egzaminy. Mieli oni indeksy takie jak słuchacze

łódzcy i profesorowie podpisywali im, że uczęszczali na wykłady, co jawnie nie było zgodne z rzeczywistością, bo profesor i słuchacz wiedzieli dobrze, że ten ostatni na wykłady nie uczęszcza. Jeszcze w końcu roku 1947 próbowałem uratować tę zasadniczą ideę właściwego systemu wyższej szkoły korespondencyjnej i z zachęty Ministerstwa Oświaty (w szczególności ob. wiceministra Eugenii Krasowskiej i p. o. dyrektora Departamentu Szkół Wyższych dra J. Marowskiego) zorganizowałem ogólnopolski komitet opiniodawczy, w skład którego weszli między innymi profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego (J. S. Langrod i W. Wachholz), Uniwersytetu Poznańskiego (prof. dr A. Ohanowicz), Uniwersytetu w Toruniu (proroktor, obecny rektor prof. dr K. Koranyi), wyżsi urzędnicy Ministerstwa Administracji Publicznej, przedstawiciele Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Samorządu Terytorialnego i inni fachowcy. Wszyscy zgodzili się na to, że jedynym właściwym systemem jest oparcie kształcenia korespondencyjnego o pomoc terenową profesorów uczelni w różnych centrach Polski. (Zarys takiego systemu przedstawiłem w moim artykule, drukowanym w „Kurierze Codziennym” w lutym r. 1948).

Okazało się jednak, że już nie dało się zmienić odmiennego, niewłaściwego systemu, fikcji rzeczywistego kształcenia korespondencyjnego. Toteż temu należy w szczególności przypisać, że Ministerstwo Oświaty pozwoliło na funkcjonowanie tej uczelni tylko do końca roku akademickiego 1948/49, tak, że uczelnia ta za kilka miesięcy kończy swój żywot.

W związku z powyższym ogromnie ucieszył mnie artykuł ob. Bartecckiego i nie mam do-

mopomoc Chłopska” pomocy instruktorskiej, prawnej, organizacyjnej, gospodarczej i kulturalnej”.

Rzecz jasna, że to nie wyczerpuje zadań, jakie ZSCh ma do wykonania w zakresie pomocy dla tworzącej się spółdzielczości produkcyjnej w przyszłości. Nowe zadania, nowe formy pracy i pomocy spółdzielczości produkcyjnej wysunie samo życie i w zależności od konkretnej sytuacji, jaka zaistnieje, formy te będziemy kształtować, formy te Związek będzie dostosowywał i realizował.

Drugim bardzo istotnym elementem, stanowiącym nowość w projekcie statutu, jest wyłączenie obok **współpracy** również **kontrolli** jako zadania dla Związku Samopomocy Chłopskiej nad działalnością społeczno-gospodarczą spółdzielni.

Na potwierdzenie tego, że w Związku Samopomocy Chłopskiej jest olbrzymia baza dla pracy społecznej, dla pracy politycznej, trzeba przytoczyć cyfrę 112.000 nowych członków ZSCh, którzy wstąpili do Związku w okresie kampanii wyborczej od 1 listopada 1948 r. do 1 marca 1949 r.

Te 112.000 nowych członków, to mało- i średniorolni chłopci, którzy wstąpili do ZSCh nie dlatego, że rozdawaliśmy w tym okresie konie z dostaw UNRRA, czy z innych dostaw zagranicznych, ani dlatego, że rozdawaliśmy mąkę z pomocy przedwojnowej, bo jej nie rozdawaliśmy w tym czasie, wstąpili dlatego, że dotarliśmy do gromad organizacyjnych, że w akcji wyborczej, (aczkolwiek posiadała wiele braków i niedociągnięć, które stwierdzamy obiektywnie), pomogliśmy chłopom biednym i średniorolnym wziąć udział w wyrzucaniu z zarządów gromadzkich i powiatowych wyżywkaczy i spekulantów i chłopci biedni i średniorolni objęli kierownictwo ogniw terenowych ZSCh. Dziś możemy powiedzieć bez frazesów, że oni wzięli w swoje ręce własne sprawy, żeby zgodnie z interesami demokracji ludowej właściwie nimi kierować.

syć słów zachęty, aby w razie organizacji wyższej uczelni korespondencyjnej, obejmującej dział matematyczno-przyrodniczy i humanistyczny z dodaniem historii społeczno-gospodarczej i socjologii, jak to proponuje kol. Barteccki, **przyjąć bezwzględnie drugą z koncepcji organizacyjnych** zaproponowanych przez ob. Bartecckiego, tzn., że Akademickie Studium Korespondencyjne działałoby w oparciu o istniejące w Polsce uniwersytety (dodajmy i inne szkoły wyższe). Poddaję pod rozważenie kol. Bartecckiego, czy nie byłoby wskazane — nawet specjalnie **ze względu na nauczycielstwo wiejskie** — stworzenie w takiej wyższej szkole korespondencyjnej działu prawn-administracyjnego wobec tego, że nauczyciel może zostać inspektorem szkolnym, urzędnikiem Kuratorium okręgu szkolnego czy Ministerstwa Oświaty. Na wszystkich tych stanowiskach a także przy pracy nauczyciela w **samorządzie** (członkostwa Rad Narodowych) wiedza prawn-administracyjna może się okazać bardzo potrzebną.

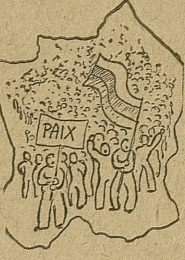
Za koncepcją tą przemawiają wyżej wskazane przeze mnie doświadczenia Wyższej Szkoły Nauk Administracyjnych. Uczelnia ta niewątpliwie na dużym odcinku spełnia swoje zadanie, bo zaspokoiła pragnienie wiedzy licznych rzesz urzędniczych z całej Polski, którym nie było dane ukończyć poprzednio studiów wyższych.

Administracja publiczna w ogóle a administracja spraw oświatowych w szczególności, jak każda żywa działalność, idzie ku lepszemu w ogniu prób i doświadczeń. Żadne doświadczenie nie jest bez wartości, a więc nawet negatywne, bo może ono stanowić znakomitą podstawę do przyszłej działalności pozytywnej.



„Dom Dziecka” w jednym z wiejskich pałaców. (Fot.: Kraska)

Liść ludu francuskiego



Podajemy treść listu skierowanego przez francuską Radę Krajową Bojowników o Wolność i Pokój do Prezydenta Trumana:

„Panie Prezydencie, Rząd naszego kraju każe wierzyć ludowi Stanów Zjednoczonych, że Francuzi zgodziliby się pod płaszczykiem Paktu Atlantycznego na prowadzenie wojny z ZSRR.

Rząd nasz oszukuje Was.

Konstytucja francuska formalnie zakazuje Francji uczestniczenia w wojnie napastniczej. Lud francuski pragnie pokoju; utrzymując wiernie wszystkie swe stosunki przyjaźni, będzie on działał w ten sposób, aby pod żadnym pretekstem kraj nasz nie stał się polem bitwy w takiej wojnie.

Lud francuski ma obowiązek dotrzymania swych zobowiązań wobec Karty ONZ i traktatu sojuszu francusko-radzieckiego.

Aby dotrzymać tych zobowiązań, nie pozwolimy na naszym terytorium zakładać obcych baz, nie wpuszczamy obcych garnizonów. Zachowamy swobodę wstrzymania się od walki, jeżeli wojna wyda się nam zbrodniczą.

Jak lud Stanów Zjednoczonych, jesteśmy ludem wolnym i trzy razy przelewaliśmy krew, aby zdobyć albo obronić tę wolność.

Wolna Francja sama tylko może decydować o krwi swoich dzieci. Nie może ona decydować o krwi cudzoziemców.

Dlatego też odmawiamy naszemu rządowi prawa podpisania Paktu Atlantycznego, przeciwnego zobowiązaniom zaciągniętym przez lud francuski, którym pragnie on pozostać wierny.

Nie będziemy uważać, że ten pakt wiąże Francję. Nie weźmiemy udziału w wojnie.

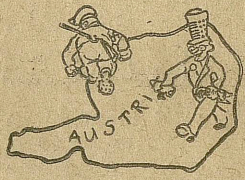
Zobowiązujemy się do tego uroczystie podpisując ten list.

Pod dokumentem tym widnieją już miliony podpisów robotników, chłopów, inteligencji i uczonych francuskich. W imieniu tych milionów obywateli francuska organizacja „Bojowników o Wolność i Pokój” zgłosiła akces do Światowego Kongresu Obrony Pokoju.

Oto głos prawdziwej Francji.

k. m.

Historia się powtarza...



Olbrzymia część przemysłu austriackiego spoczywała przed wojną w rękach obcego kapitału, ściślej mówiąc — wszystkie wielkie banki, w tym Bank Narodowy i poważniejsze instytucje kredytowe — w rękach angielskiego, amerykańskiego i francuskiego kapitału. Natomiast hitlerowskie Niemcy zarzerwały dla siebie decydujące wpływy w przemyśle stalowym, aluminiowym i lamp elektrycznych, tak, że Austriacy nie mogli np. wyprodukować żadnej większej maszyny bez uzyskania zgody takich koncernów jak I. G. Farben, Siemens, czy A. E. G.-koncernu. Praca obcego kapitału na terenie Austrii rozwijała się etapami, począwszy od roku 1918.

A jak jest dziś? Dziś gospodarce austriackiej zmonopolizowały niemal całkowicie kartele: radiowy (wytwórnie radioodbiorników i części zapasowych), cementowy, stalowy, skórzanym gumowy i owocarski. Kartele te obrały do niedawna kapitałem pohlterowskim. Prasa, wydawana przez kapitalistów, jeszcze w ubiegłym roku donosiła o unormowaniu się „wolnej gospodarki” w Austrii, opartej na własnych kapitałach.

Tymczasem dr. Lanske, referent dla spraw polityki przemysłowej w Min. Handlu, oświadczył, że europejska współpraca narodów w ramach Planu Marshalla przewiduje udział międzynarodowego kapitału w austriackiej gospodarce.

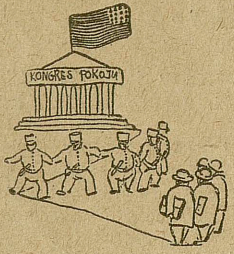
A więc historia się powtarza. Miejsce wyeliminowanego z konkurencji kapitału „Wielkich Niemiec” zajmie z kolei kapitał amerykański, torujący sobie drogę do Europy przy pomocy Planu Marshalla.

J. S.

Przyjazd i zakaz przyjazdu

W tym czasie, gdy ministrowie państw marszałkowskich wyjechali do Waszyngtonu, by podpisać Pakt Atlantyczny — Departament Stanu odmówił wiz wjazdowych intelektualistom tych samych krajów na amerykański kongres pokoju. Charakterystyczny zbieg okoliczności. Bevin, Acheson, Schuman, Sforza starają się przekonać swoje narody, że pakt atlantycki jest symbolem przyjaźni między narodami (choć równocześnie ukrywają wszelkie tajne klauzule tego paktu, niedwuznacznie skierowane przeciw wolności narodów). Ale dlaczego przyjaźń ogranicza się tylko do ministrów? Dlaczego nie pozwala się np. intelektualistom angielskim okazać przyjaźni ich amerykańskim kolegom, którzy współpracę między narodami rozumieją zupełnie inaczej niż p. Acheson, czy p. Bevin? Dlaczego Departament Stanu boi się przyjaźni w obronie pokoju? Po prostu dlatego, że wydał wojnę pokojowi. I obawia się, by idea walki o pokój, która ogarnia coraz szersze, wielomilionowe masy we wszystkich krajach, nie zburzyła ich imperialistycznego dzieła. By walka o pokój nie okazała się silniejszą niż walka o wojnę.

FAKTY i ZDANIA



Ale cóż? Do kongresu paryskiego zgłosił akces ponad pół miliona ludzi, a ileż dziesiątków, czy setek milionów sercem jest z kongresem paryskim, i tylko z obawy przed represjami nie zgłasza oficjalnego akcesu?

Czy Departament Stanu może im odmówić wiz? Czy może im zabronić walki o pokój? Wobec tych milionów Departament Stanu jest bezsilny.

N. N.

„Normalna” sytuacja

Jak wynika z oficjalnych statystyk, więcej niż połowa mieszkańców Hiszpanii zatrudnionych w rolnictwie, bo 3.115.265 osób, to robotnicy rolni. Stała pracę przez cały rok ma jednak tylko 561.512. Reszta pracuje jedynie 70—80 dni w roku, przymierając głodem w okresie pozostałych 9 miesięcy.

Posiadaczy własnej ziemi (na ogół drobno- i średnio rolnych) jest w Hiszpanii 1.823.793, dzierżawców 1.096.632. Cyfrowo tym należy przeciwstawić kilkanaście tysięcy wielkich posiadaczy rolnych, w których rękach znajdują się olbrzymie latyfundia (głównie na południu kraju). Rząd frankistowski naturalnie nie spieszy się z rozparcelowaniem latyfundiów. Woli nakładać na dzierżawców oraz drobnych posiadaczy ziemskich rygorystyczne obowiązki, do których należy nie tylko odstawianie kontyngentów, lecz również przymus dokonywania takich a nie innych zasiewów, bez względu na ich opłacalność. Nic więc dziwnego, że oficjalne czasopismo frankistowskie poświęcone sprawom rolnym „Ceres” pisze w swym numerze z 15 stycznia br.: „Największą radość można by sprawić naszym rolnikom, jeśliby się im powiedziało, że skończyła się interwencja państwowa”.



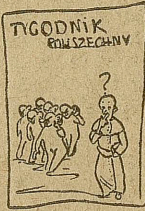
To samo pismo w swym poprzednim numerze stawiało przed swymi czytelnikami niepokojące pytanie: „Dlaczego nie widać wzrostu produkcji? Powody tego są tak liczne, że na wyliczenie ich trzeba by było dużo miejsca. Można je jednak zresumować w jednym zdaniu: sytuacja w rolnictwie nie jest jeszcze unormowana”.

Frankistowskie pismo kłamie. Miliony proletariatu rolnych, obok kilkunastu tysięcy wielkich posiadaczy, ucisk podatkowy i wyzysk — to jest normalna sytuacja. Normalna dla kapitalistycznych stosunków w rolnictwie.

(em)

Dlaczego ks. Piwowarczyk milczy?

Przed niedawnym czasem („Wię” Nr. 12/191) zamieściliśmy list jednego z naszych czytelników, w którym powątpiewaniu (łagodnie mówiąc) poddano artykuł ks. Piwowarczyka (Tygodnik Powszechny Nr. 10/208). Nasz czytelnik prosił o odpowiedź. Myśmy ze swej strony wyrazili nadzieję, że odpowiedź udzielą „Tygodnik Powszechny”, znając jego skrupulatność polemiczną (przypominamy chociażby, jak zaciekle bronił się ob. Jakub Zdrój przeciwko naszej drobnej nocie). Ale nadzieja nasza — jak dotąd — jest ponna. Milczy i ks. Piwowarczyk i „Tygodnik Powszechny”. Milczy podobnie jak cały Kościół katolicki na oświadczenie rządu o stosunku państwa do Kościoła.



To milczenie ks. Piwowarczyka i „Tygodnika Powszechnego” jest znamienne. Bo milczenie oznacza często uznanie racji przeciwnika. A więc — powtórzmy — ks. Piwowarczyk owiął po prostu sprawę w bawelną mowę o wielkich funkcjach moralnych Watykanu, o krzewieniu przez kultury i etyki. Watykan jest od kultury i etyki tak samo odległy — jak Waszyngton, z którym tak ściśle dziś współpracuje. Istotna funkcja Watykanu ukrywa się w tej polityce, którą tak plastycznie nakreślił Manhattan. we współpracy z imperializmem, we wrogości wobec narodów i demokracji. Czy nie tak, proszę księdza? Jeśli nie ma racji Manhattan — to skąd tak misterne — rzeczywiście misterne — milczenie? Czy wynika ono ze wstydu czy z niemożności opowiadania — nie wiemy!

K. S. M.

„Danzig Germany”

Jeden z punktów oświadczenia rządu R. P. na temat stosunków pomiędzy państwem a Kościołem mówi o uregulowaniu granic diecezji zgodnie z nowym podziałem administracyjnym państwa. Tymczasem... granice obecnej gdańskiej administracji apostolskiej pokrywają się z granicami byłego „Freie Stadt Danzig”.



„Wiemy, co jest powodem tego stanu rzeczy — pisze „Trybuna Ludu” (Nr 87). Watykan, który nie od dziś dał się poznać jako oredownik powrotu naszych Ziemi Odzyskanych do Rzeszy i interweniował swego czasu w obronie Spółdzielni „Danzig Germany”.

Uznaje przyłączenia Gdańska do Polski. Z tego samego powodu listy wysyłane z Watykanu przez Kurie Rzymską do kancelarii biskupiej w Gdańsku adresowane są także i obecnie do biskupa Spletta i noszą napis „Danzig, Germany” (podkreślenie nasze).

To się nazywa mieć „ojcowskie serce” dla Polski i Polaków. Cóż na to nasi biskupi-purpuraci? Czy zaprotęstują przeciwko tym „ojcowskim” uczuciom papieża, czy też wciąż będą powtarzać lekcje papieskie z „Kordiana” Słowackiego: „...a niechaj wasz naród wygubi w sobie ogniów jacobiniskich zaród, Niech się weźmie psalterza — i radeł — i sochy”.

Bo takiemu „od psalterza i sochy” wszystko już jedno, czy „Danzig — Germany”...

zew

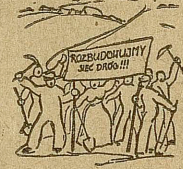
Tej wiosny...

Do

Redakcji tyg. „Wię”

Pozwólcie wypowiedzieć się działaczowi terenowemu nie szczęble gminnym w następującej sprawie: nadchodzi wiosna, wymiana między miastem i wsią bardzo się ożywi. Dobre drogi w znacznej mierze stanowią o przydatności pracy produkcyjnej naszego rolnika, warunkują w poważnym stopniu rozwój społeczno-kulturalnego życia wsi.

Przed samą wojną mieliśmy wszystkiego 16 km dróg o twardej nawierzchni na każde 100 km² długości dróg o nawierzchni ulepszonej (kostki, betony, asfalty, klinkiery) wynosiła 3500 km, a więc zaledwie 6% całości. Olbrzymia, przeważająca ilość niewytrzymałych drewnianych mostów, brak mostów na wielu ważnych traktach — oto stan sprzed wojny.



Obecnie jest pod pewnymi względami znacznie lepiej. Gęstość sieci dróg bitych wzrosła do 30,5 km na 100 km², również i powierzchnia dróg nowocześniejszych znacznie się zwiększyła, stanowi dziś 23%, niemniej jednak mamy nadal olbrzymie braki i potrzeby. Drogi wymagają zarówno konserwacji, jak i odbudowy, szczególnie dziś — w nowym ustroju, który otworzył bramy chłopskiego getta. Po tych drogach kursują dziesiątki tysięcy samochodów i wozów. Nie możemy także wyobrazić sobie wymiany kulturalnej wsi i miasta bez szeroko rozbudowanej sieci dróg.

Nasz samorząd gminny posiada w swojej gospodarce 21.519 km² dróg gminnych, bitych i 147.904 km² dróg gruntowych. Wiadomo, że w latach 1945—1946 wyniki pracy, prowadzonej na tym odcinku przez gminy były znikome.

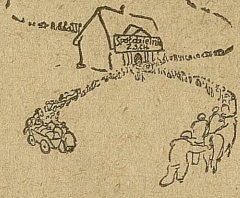
Tej wiosny, kiedy na wieś idą masy maszyn, kiedy prowadzimy masowy skup żywe w ramach akcji H, kiedy rozprowadzamy po terenie bydło narodowe, nasiona elitarnie, kiedy ożywiamy wymianę kulturalną z klasą robotniczą, sprawa dróg staje się szczególnie ważna. Czy poszczególne gminy mają już przygotowane plany i aparat ich realizacji dla odbudowy i rozbudowy dróg?

K. L.

Spółdzielnia ZSCh w Masłowicach

Gminna spółdzielnia ZSCh w Masłowicach powstała dopiero w 1948 r., ale w przeciągu tak krótkiego czasu swego istnienia — rozwinęła się nader pomyślnie. Posiada już dziś bowiem 747 członków, a liczba ich ciągle się powiększa. Utworzyła także już pięć filii spółdzielczych, a to w Strzelcach, Kraszewicach, Bakowej Górze, Majkowiecach i w Chelmie, a w roku 1949 powstaną jeszcze trzy filie: w Sokolej Górze, w Debie i w Masłowicach. Spółdzielnia prowadzi także resztówkę majątku Bakowej Góry.

Głównymi materiałami rozprowadzonymi przez spółdzielnię w Masłowicach są artykuły spożywcze, nawozy sztuczne, węgiel, materiały budowlane i pasze treściwe. Prowadzona jest także na wielką skalę sprzedaż gazet. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że spółdzielnia zaopatrzyła całkowicie cały teren gminy w materiały opałowe. Samego węgla sprowadzono i rozprzedano ponad 2300 q. Nie gorzej rozwija się także sprzedaż nawozów sztucznych. W ubiegłym sezonie zimowym rozprowadzono ich około 750 q. zaś do nadchodzącego sezonu przygotowano już 2.600 q. Z materiałów budowlanych najwięcej spółdzielnia sprzedaje cementu. Kilka set q, które niedawno sprowadzono, zostało szybko rozkupione, zgłoszono więc jeszcze zapotrzebowanie na dalsze pięć wagonów cementu. Spółdzielnia rozwinięła też i to bardzo dobrze akcję skupu trzody chlewnej. Pracują w niej nie tylko członkowie Spółdzielni, ale i członkowie Milicji Obywatelskiej i Gminnej R.N. Toteż akcja ta — jak już zaznaczyliśmy — rozwija się bardzo dobrze. Na plac, na którym odbywa się skup, zjeżdżają w każdy wtorek dziesiątki wozów naładowanych przętami i cielętami. Okoliczni chłopcy, przeważnie mało- i średniorolni — wiedzą, czym akcja ta jest dla nich i dlatego każdą sztukę przeznaczoną na sprzedaż prowadzą tylko na skup. Narzekają jednak na brak mięsa i o-czywiście słusznie. Spółdzielnia bowiem dostaje na całą gminę tylko cztery sztuki świń, a na obszarze gminy oprócz kilku tysięcy chłopów — rolników, mieszka także dość pokaźna liczba robotników, którzy pracują w dwóch majątkach i w gorzelni. Należałoby więc, skoro spółdzielnia skupuje tylko w jednym dniu 70—100 sztuk świń i bydła, zwiększyć przydział mięsa dla ludu pracującego.



Powracając jeszcze do samej spółdzielni musimy dodać, że zarząd tej instytucji składający się z mało- i bezrolnych chłopów, członków P.Z.P.R. — ma na przyszłość śmiałe plany. Biorąc bowiem pod uwagę obroty spółdzielni sięgające miesięcznie do 4 milionów zł. — postanawia utworzyć jeszcze w tym roku ośrodek maszynowy i oczyszczalnię zboża. Przyjdzie mu to tym łatwiej, że maszyny do oczyszczania zboż ma już zakupione.

Gustaw Tomala

Blżej, bliżej żyć z chłopami i robotnikami

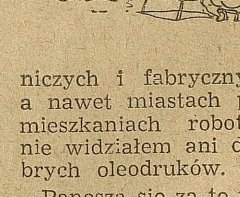
Do Redakcji tygodnika „Wię”

Mała rewolucja artystyczna na papierze studentów ASP w Krakowie: Naleckie, Wajdy i Wróblewskiego, oraz wywody p. Stefana Gierowskiego wydają się burzą w szklance wody na łamach „Wsi”.

Twórczość malarska w Polsce nie przeżyła żadnego wstrząsu, postępowanie zaś, sposób życia artystów malarzy nie przestaje być przedmiotem drwin dużej części prasy codziennej i tygodniowej.

Ani profesorowie, ani „asy” malarstwa, ani studenteria szkół plastycznych nie znają środowisk robotniczych, czy wiejskich.

Wola, jak przed 50 laty, prowadzić biedne, smutne, ale fantazyjne życie „wagabundy” kawiarniane-go, bo jest ono wygodne i błyskotliwe. A za modele wystarczy „martwa natura”.



Nie dziwnego, że jeżdżą wiele lat po wsiach, osadach rolniczych i fabrycznych, bądź miasteczkach, a nawet miastach powiatowych, nigdzie w mieszkaniach robotniczych czy chłopskich nie widzieli ani dobrych obrazów, ani dobrych oleodruków.

Panoszą się za to na ścianach ohydne obrazy i oleodruki często z niemieckimi nazwami.

Oto do czego prowadzi lenistwo twórcze, i chorobliwa fantazyjność, tak starego, jak i młodego pokolenia malarskiego w Polsce.

Grzegorz Ciepliński
działacz terenowy

W NUMERZE 14 (193) TYG. „WIEŚ” z dnia 3 kwietnia 1949 r.

Dyzma Gałaj — Ludzie, którzy budują pokój; Mieczysława Buczkówna — wiersze; Mirosław Ochocki — wiersze; Nieznane listy Joachima Lelewela; Marta Zmijewska — Drobnomieszczańska deformacja socjalistycznej wiedzy o kulturze; Konstanty Simonow — Nieśmiertelne nazwisko. Tłum. T. Chróściewski; Edmund Niziński — „Węzły życia” — Zofii Nałkowskiej; Krzysztof Sławiński — Odchodzące „Chiny bez maski”; Piotr Pigwa — „Jak nigdy Polska nie rosla”; Fritz Jensen — Sto milionów chłopów chińskich; Władysław Blachut — Z dziejów nauczycielstwa polskiego; K. Kawecki — Z dziejów nauczycielstwa radzieckiego; Czesław Zieliński — List do „Wsi”; Paulina Czyżowa — „Twórczość”; Piotr Chmura — „Gromada”; Józef Pogan — Klin w głowach biedoty; Fakty i zdania; 24 ilustracje; 12 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: — zł: rocznie 960,— zł. miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.
D—025822